

# tygodnik społeczno-kulturalny

# odgłosy

Łódź



NR 35 (1134) ROK XXII

2 WRZEŚNIA 1979 R.

CENA 3 ZŁ



Przeciwlotniczy karabin maszynowy na barykadzie w Alejach Jeruzolimskich przed dawnym Dworcem Głównym.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## OSTATNIE DNI POKOJU I WOJNA

Lato 1939 roku było upalne. Było to ostatnie lato przed wojną. Czy wszyscy zdawali sobie z tego sprawę? W kwietniu 1939 roku Hitler wypowiedział polsko-niemiecką deklarację niestosowania siły z 1934 roku. W Gdańsku i na granicy polsko-niemieckiej nasiliły się hitlerowskie prowokacje. Trwały dyplomatyczne zabiegi, których celem było uratowanie pokoju. Ale Hitlerowi wcale nie zależało na pokoju. Świadomie dążył do wywołania wojny.

22 sierpnia 1939 roku zgromadził w swojej rezydencji w Obersalzbergu wyższych dowódców wojskowych i powiedział im wówczas:

— „Podjęcie decyzji jest dla nas łatwe. Nie mamy nic do stracenia, możemy tylko zyskać. Nasze położenie gospodarcze jest wskutek naszych ograniczeń takie, że możemy wytrzymać jeszcze tylko parę lat... Nasi przeciwnicy ryzykują wiele i mają niewiele do zyskania. Stawka Anglii w wojnie jest niestychanie duża. Nasi przeciwnicy mają przywódców, którzy są mniej niż przeciętni. Żaden z nich nie jest wybitną osobistością, władcą, człowiekiem czynu...”

Datę rozpoczęcia wojny wyznaczył Adolf Hitler na 26 sierpnia 1939 roku. Celem ataku była Polska. Mówił wtedy:

— „Zagłada Polski wysuwa się na pierwszy plan. Celem jest zniszczenie żywej siły, a nie dotarcie do określonej linii. Jeżeli wybuchnie wojna na Zachodzie, zagłada Polski także pozostaje zadaniem pierwszoplanowym. Ze względu na porę roku konieczne jest szybkie rozstrzygnięcie.”

Dam pretekst propagandzie uzasadniającej wybuch wojny, obojętne czy wiarygodny. Nikt nie będzie

pytał później zwycięzcę czy mówił prawdę, czy nie. Na początku i w czasie prowadzenia wojny nie idzie o prawo, lecz o zwycięstwo.

Wyrzucić z serca litość. Brutalnie postępować. 80 milionów ludzi musi otrzymać, co im się należy... Silniejszy ma rację. Stosować największą surowość.

Pierwszym celem jest dotarcie do Wisły i do Narwi. Nasza przewaga techniczna załamie nerwy Polaków. Należy rozbić natychmiast każdą nową formującą się jednostkę polską, wojna musi być wojną na wyniszczenie.”

A więc karty zostały rozdane. Wszystko postanowione. Gra rozpoczęta. Dlaczego jednak wojna nie zaczęła się 26 sierpnia 1939 roku?

25 sierpnia 1939 roku zaczął się

### ostatni tydzień pokoju,

choć miał to być tylko ostatni dzień pokoju. Dwa wydarzenia zmusiły Adolfa Hitlera do odwołania ataku na Polskę w dniu 26 sierpnia 1939 roku. W piątek 25 sierpnia 1939 roku otrzymał on list od Benito Mussoliniego, w którym ten donosił, że Włochy będą mogły przystąpić do wojny u boku Niemiec dopiero w... 1942 roku. Tego dnia też nadeszła wiadomość o podpisaniu między Polską i Anglią układu o wzajemnej pomocy.

Kiedy w tenże sam piątek rozkazywał zdumionemu generałowi Wilhelmowi Keitelowi odwołanie ataku, a była już godzina 19, powiedział wtedy: — „Muszę mieć czas na pertraktacje”. Ale w istocie chodziło Hitlerowi o czas na dalsze odizolowanie Polski. Hitler do końca miał nadzieję, że nikt nie wystąpi w o-

bronie Polski, że Francja i Anglia nie dotrzymają swoich zobowiązań.

Odwołanie ataku na Polskę dotarło do wszystkich oddziałów z wyjątkiem jednego, który miał wcześniej zaatakować tunel Jabłonkowski i stację kolejową Mosty. Walka z tym oddziałem trwała kilka godzin. Wzięci do niewoli niemieccy dywersanci dziwili się, że jeszcze nie wybuchła wojna. Wśród wielu granicznych prowokacji, jakich dopuszczali się Niemcy, atak na Przełęcz Jabłonkowską niemieckich dywersantów uznano za kolejną prowokację, za kolejny incydent graniczny. Była sobota, 26 sierpnia 1939 roku.

Halina Regulska — autorka wydawnego w 1978 roku „Dziennika z obłożonej Warszawy” — wakacje spędzała w Juracie.

„Półwysep Helski — zanotowała w swoim dzienniku — roll się wówczas od tętniącej życiem młodzieży. Wokół nas jednak działy się rzeczy zwiastujące nadchodzącą wojnę. W Zatoce Puckiej codziennie odbywały się ćwiczenia polskich kontrtorpedowców, w powietrzu krążyły ćwiczebne samoloty, a wieczorami w niebo wystrzeliwały światła reflektorów przeciwlotniczych...”

W Juracie żyliśmy, jak na rozżarzonych węglach, w każdej chwili gotowi do wyjazdu...

Dnia 15 sierpnia zdecydowałam, że czas już wracać...

W Warszawie zastałam nastrój silnego podniecenia. Raz po raz odbywały się ćwiczenia biernej obrony przeciwlotniczej.”

Prasa starała się uspokajać ludzi. Oto tytuły „ECHA” — łódzkiej gazety popołudniowej — z 25 sierpnia 1939 roku:

„GŁODOWE OGRANICZENIA

PROWANTOWE W RZESZY. Zmniejszenie racji żywnościowych dla żołnierzy i koni armii niemieckiej. Holandia powoła kobiety. CZY UDA SIĘ UNIKNĄĆ WOJNY? Europejska prasa potępia postępowanie Niemiec. Spokojny nastrój w stolicy. Zabezpieczenie rodzin rezerwistów.”

Kartki na żywność wprowadzono w Niemczech dopiero w poniedziałek, 28 sierpnia 1939 roku. Niemieckie dywizje wkroczyły do Słowacji rządzonej przez księdza Tiso pod pozorem obrony Słowacji przed polską agresją. Granice Polski zostały otoczone wojskami niemieckimi od południa, zachodu i północy. Mnożyły się akty dywersyjne w Polsce. W poniedziałek, 28 sierpnia 1939 roku na stacji kolejowej w Tarnowie wybuchła bomba zegarowa. Zginęło kilkanaście osób.

Tego samego dnia łódzkie „ECHO” donosiło:

„Paryż zadowolony z przybycia oddziałów brytyjskich. Francja ma już 3 miliony żołnierzy pod bronią. Niemieckie racje żywnościowe mniejsze, niż w 1918 roku. Społeczeństwo całej Polski bierze udział w kopaniu rowów przeciwlotniczych — Łódź przoduje — dumnie donosiło „ECHO” i informowało, że za lichwę i ukrywanie towarów różni sklepikarze łódzcy powędrowali do Berezyskiej.

Gazety donosiły też o tym, jak trzeba zachować się w różnych nieoczekiwanych sytuacjach. W niedzielę, 27 sierpnia 1939 roku „ECHO” przedrukowało artykuł z „POLSKI ZBROJNEJ” o tym, że „CAŁA LUDNOŚĆ MUSI WIEDZIEĆ, JAK ZWALCZAĆ DESANTY SPADO-

Dalszy ciąg na str. 3

### W NUMERZE:

#### Wojenne drogi

Uderzyliśmy na Mszczonów pod osłoną naszej artylerii. Wdarliśmy się do miasta i ustawiliśmy zaraz karabiny maszynowe na wszystkich skrzyżowaniach i wylotach dróg, a sami rozpoczęliśmy buszowanie po Mszczonowie. Ja ze swymi chłopcami natrafiłem na miejsce kwaterowania niemieckiej kompanii propagandowej II Brygady Pancerniej, znajdujące się w Domu Ludowym. (Tadeusz Gicgier)

#### Kładka nad białą rzeką...

— Obecnie, latem, dostawy są realizowane terminowo. Przeglądając dane za I półrocze można stwierdzić, że tylko w przypadku mleka, serów twarogowych i lodów — nasze zamówienia nie są pokrywane w pełni.

(Siawomir Darzycki)

#### Wewnątrz przyrody

Losy polskiego filmu przyrodniczego są związane z Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi, a wcześniej z Instytutem Filmowym. W obydwu wypadkach była to działalność związana z wybitnymi postaciami, twórcami filmu przyrodniczego — Karolem Marczakiem i Włodzimierzem Puchalskim. (Maciej Lukowski)

#### POZA TYM:

Rozmowy: z prof. dr Janem Michalskim i pisarzem Apoloniuszem Zawilskim.

Prezentacja twórczości Danuty Muszyńskiej.

Kolejny odcinek powieści Wacława Bilińskiego „Koniec wakacji”.

Wrześniowa edukacja.

Poezja.

Recenzje.

Felietony.

„Załącznik”.

#### W NASTĘPNYM NUMERZE:

Ryszard Binkowski — Godnie i po gospodarsku.

Małgorzata Goliczka — Nauczyć się być starym...

Lucjusz Włodkowski — Czekając na samolot.

Tadeusz Papier — Rozmowy z sąsiadami.

Maria Kornatowska — Biedne kino, zła telewizja i dobra wróżka Hollywood.

Oraz początek cyklu publikacji pt. „Moje 35-lecie”, napisanych specjalnie dla naszego tygodnika. Jako pierwszą zamieścimy wypowiedź Jana Koprowskiego, sekretarza generalnego ZG ZLP, b. redaktora naczelnego „Odgłosów”.



Wrzesień od dziesiątków lat kojarzy się w Polsce, a nawet w Europie, z początkiem roku szkolnego. Mimo to odnośnie wrażenie że wiele instytucji współodpowiedzialnych za stan oświaty w naszym kraju dowiaduje się o tym w ostatnim momencie. Jakby nie słyszały o istnieniu kalendarza. Może właśnie dlatego za optymistycznymi deklaracjami nie zawsze w parze idą czyny. Chociaż ogólnie tempo remontów szkół można ocenić jako niezłe, zdarza się niestety zbyt dużo wyjątków od tej zasady. Nie pierwszy zresztą raz przedsiębiorstwa budowlane wyrwane gwałtownie do tablicy budzą się z głębokiego snu.

(dwie na Widzowie-Wschodzie, jedną na Retkini), choć jednocześnie wiadomo, że budownictwo oświatowe przegrywa konkurencję zarówno z „mieszkalniówką” jak i z inwestycjami przemysłowymi. Szczególnie rażąca braki obserwujemy znowu na wsi. Jak donosiła PAP, w Stępnicy, w województwie szczecińskim, prace przy budowie szkoły gminnej ciągną się już pięć lat, co wydaje się okresem stanowczo za długim, a przecież można wskazać wiele rozprawianych i ślimaczących się latami budów także w innych regionach naszego kraju. Na sprawę szkół zbiorczych trzeba zwrócić szczególną uwagę, gdyż stanowią one szansę wyrównania

zwłaszcza w najmłodszych klasach, choć nie jest to zrozumiałe także w klasach starszych. Powiedzmy sobie od razu, że mimo zapewnienia Kuratorium Oświaty i Wychowania Województwa Łódzkiego zabrakło niektórych podręczników dla uczniów klasy pierwszej. Tak np. w szkole podstawowej nr 7 im. 30-lecia PRL, która mieści się przy ulicy Wiosennej 1, pierwszacy, o czym donosił „Dziennik Popularny” z 21 sierpnia r.b., daremnie szukali podręcznika „Środowisko u nas”. W jeszcze gorszej sytuacji byli ich nieco starsi koledzy z klas trzecich czy czwartych, tym bowiem brakowało nagminnie ćwiczeń do różnych przedmiotów, ale także książek do nauki języka polskiego, geografii i wielu innych. Brakuje także podręczników używanych co świadczy o tym, że ich kolportaż prowadzony jest nieprawidłowo.

za dziewięć lat absolwenci dzisiejszych drugich klas uzyskają wykształcenie średnie, które stanie się w Polsce powszechnym. Tym większym niepokojem napawa fakt, że w Łodzi realizacja reformy edukacji narodowej natrafiła na pewne przeszkody. Jak stwierdził na specjalnej konferencji Kurator Oświaty i Wychowania Urzędu m. Łodzi Tadeusz Podwysocki, wbrew założeniom reformy nie wszystkie dzieci klas pierwszych otrzymały promocję, co świadczy o tym, że nie zostały w porę zakwalifikowane do szkół specjalnych, a te które otrzymały skierowanie, nie podjęły tam nauki. Inne niepokojące zjawiska to absencja nauczycieli. Wiedzę jest jeszcze trudniej nadgonić niż produkcję, o czym młodzież i nauczyciele przekonują się dopiero podczas egzaminów ujawniających bezsilność braki.

# PROSZĘ DO TABLICY

Jak dowodzi przykład województwa skierniewickiego, najtrudniej było o uspołecznionych wykonawców na wsi i tam też powstały największe zaległości. Ale nie brakowało zaniezań także w miastach. Choćby w Żyrardowie, gdzie miejscowe przedsiębiorstwo budownictwa komunalnego tylko w nieznacznej części wywiązało się z obowiązku malowania szkół. Także w Sieradzu nie ukończono na czas remontu jednej z placówek nauczania. Przykłady takie można mnożyć, alarmująco donosiła o nich prasa regionalna i „Trybuna Ludu” tym wszakże, co niepokoi najbardziej jest powtarzanie się wszystkiego od początku, jakby doświadczenia lat poprzednich niczego nas nie nauczyły. A przecież niezależnie od remontów szkolnictwo musi otrzymać także całkiem nowe obiekty oświatowe i to w całkiem niemałej ilości. Plany na rok bieżący przewidują budowę 74 szkół podstawowych, w tym niemal trzecią część na wsi, a także 3 szkół zawodowych, 2 liceów ogólnokształcących i in. Budowane będą także internaty i warsztaty szkolne. Są to zadania bardzo poważne. Można się cieszyć, że w dużych miastach, takich choćby jak Łódź, oddano do użytku nowe szkoły w rozbudowujących się dzielnicach mieszkaniowych

dysproporcji w nauczaniu pomiędzy miastem i wsią, co było do niedawna pięcią Achillesową naszego systemu oświatowego. Tymczasem, w winy wykonawców, to wyrównanie dysproporcji przesuwają się w czasie wyrządzając niepowetowane szkody młodemu pokoleniu Polaków.

Czas rozpoczęcia nauki w szkołach jest okresem gorącym nie tylko dla pedagogów. Także rodzice mają za swoje obiegając stoiska z torami, zeszytami, kredkami. Przy odrobinie sprytu i oczywiście wytrwałości pomoce szkolne można jeszcze zdobyć. Znacznie gorzej przedstawia się sprawa z podręcznikami, które w tym roku rozprowadzają wyłącznie szkoły. Nie wątpię, że złożyły na czas zamówienia, ale Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, monopolista w tej dziedzinie, od lat nie nadążają z drukiem książek dla wszystkich potrzebujących. To prawda, że potrzeby są bardzo duże skoro w tym roku do szkół tylko łódzkiego województwa miejskiego uczęszczać będzie 183.500 uczniów, z czego ponad 93 tys. do szkół podstawowych, ok. 14 tys. do liceów ogólnokształcących i przeszło 40 tys. do różnych szkół zawodowych. Ale te liczby nie usprawiedliwiają przecież do końca notorycznego braku podręczników, co szczególnie denerwuje,

Te sygnały muszą martwić, bowiem od lat nie możemy się dopracować właściwego systemu zaopatrzenia młodzieży w książki. Balagan jaki towarzyszy tej akcji każdego roku ma nie najlepszy wpływ wychowawczy, a przecież nawet skup używanych podręczników szkolnych i ich dystrybucja dla młodszych roczników mogłyby się stać okazją do przemyślnych działań. Kiedy bowiem młodzież ma się nauczyć gospodarności, oszczędności i porządku? Szkoda, że zapominamy o tym tak łatwo na początku roku szkolnego i dziwnym się, że pod koniec młodzież nieufnie przyjmuje nasze deklaracje. Jako odpowiedzialni za wychowanie i stan młodych umysłów powinniśmy sobie zdawać sprawę, że jesteśmy na cenzurowanym, i że chcąc nie chcąc młodzież będzie nas w przyszłości naśladować. Ważne jest więc z punktu widzenia tejże przyszłości jakie damy jej wzorce.

Początek roku szkolnego jest dla wielu dzieci radosnym przeżyciem. Rozpoczynający naukę złożyli ślubowanie i dobrze, że nadajemy temu uroczystą oprawę. Ale uczuciu radości powinna towarzyszyć refleksja, że w żadnej dziedzinie życia fuzerki nie mają tak zdecydowanie negatywnego wpływu jak właśnie w procesie wychowawczym. Od jakości nauczania zależy będzie w przyszłości jakość naszego życia i jest to związek na tyle oczywisty, że tym większym szacunkiem musimy ocałać ofiarnych w swojej masie nauczycieli. Nie tylko z okazji nowego roku szkolnego. Jeśli bowiem mówimy, że młodzież jest przyszłością narodu, to nie wolno nam zapominać, że szkoła i nauczyciel, bardziej dzisiaj niż dom rodzinny wskazuje młodym kierunek marszu.

JERZY DARNAL

## OD REDAKCJI

W numerze 32 „Odgłosów” wydrukowane zostały fragmenty książki Juliusza Kuleszy pt. „Z Tasienką na czolgii”. Jaka ukazała się niedawno nakładem „Czytelnika”. Jest to relacja z walk o gmach Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych podczas Powstania Warszawskiego. Konieczność skrócenia tekstu spowodowała, że w przedrukowanym fragmencie opuszczono dość istotny dla opisywanej akcji bojowej wątek, jakim był udział jednego z głównych jej uczestników, st. strzelca „Granita” (Andrzej Stankiewicz), wyróżniającego się jako ochotnik, a następnie ciężko rannego w opisywanym natarciu. Wyjaśnienie niniejsze zamieszczamy w intencji zachowania prawdy historycznej o walkach w PWPW, tym jednym z najbardziej znanych obiektów Powstania. Za powstałe z winy redakcji w tekście nieścisłości przepraszamy Autora p. Andrzeja Stankiewicza i Czytelników.

W 40 rocznicę hitlerowskiej napaści na Polskę przypomnijmy ogrom strat, jakie poniosła polska kultura podczas wojny i okupacji, strat tym bardziej dotkliwych i bolesnych, że w ogromnej większości nie do naprawienia. Realizując plan zagłady narodu polskiego niemiecki najezdźca starał się unicestwić jego świadomość narodową, zniszczyć dorobek kultury, wymordować ludzi nauki, twórców, pedagogów, dążył do całkowitej eksterminacji inteligencji polskiej.

Już wrzesień 1939 roku był złowrogim prologiem tego, co miało być dla Polski okrutną codzienną rzeczywistością przez blisko sześć okupacyjnych lat. Podeszły kampanii wrześniowej żołdacy Wehrmachtu i Luftwaffe niszczyli z premedytacją zabytki naszej architektury, obiekty kulturalne, muzea, księgozbiory.

Właśnie na ludzi kultury spadły pierwsze ciosy terroru okupanta. Zapoczątkowała je już 6 listopada 1939 roku „Sonderaktion Krakau”: deportacja 182 profesorów i innych pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego do obozów koncentracyjnych, głównie do Sachsenhausen i Dachau. Potem

było jeszcze wiele takich „akcji”, wśród nich szczególnie bestialska, przeprowadzona w lecie 1941 roku we Lwowie. Terror hitlerowski godził w tych ludzi ze szczególną zjadłością. Aresztowano ich, wywieszono do obozów, rozstrzeliwano, skazywano na śmierć z głędy i głodu. Lista ofiar jest długa i bolesna, a zadane narodowi straty niepowetowane. Ginęli luminarze naszej literatury, nauki, popularni artyści, nauczyciele i wychowawcy. Wymienimy tylko niektórych: historyk literatury, Ignacy Chrzanow-

stytucji naukowych. Księgarstwo i biblioteki polskie straciły w tych latach 85 proc. posiadanych książek. Burzono uniwersytety, zabytkowe kościoły i biblioteki, niszczone akta i dokumenty historyczne, obrazy i rzeźby, wszystko to, co świadczyło o polskiej kulturze i jej randze. Opasane lancuchami padały na bruk polskie pomniki. W październiku 1939 roku hitlerowcy ograbili zbiory Zamku Warszawskiego i przystąpili do planowego niszczenia tego symbolu państwowości Polski. Wywieziono ołtarz Wita Stwosza z

na rolę w tym dziele zniszczenia odgrupały niemieckie instytucje kulturalne: wydziały „Kultur und Gemeinschaftspflege” oraz „Abteilung IV — Kultur” przy rządzie Generalnej Guberni. W rezultacie tej „działalności” i zniszczeń ubyło nam ponad 7500 zabytkowych budowli, zniszczonych doszczętnie, a niemal 12 tys. uległo zniszczeniu polowicznemu”. Niemcy okupanci pragnęli u-niemoliwić jakiegokolwiek przejawy życia kulturalnego w podbitym przez siebie kraju. Polakom nie

graniczało się do koncertów w domach prywatnych, a wykonywanie dzieł kompozytorów polskich, zwłaszcza Chopina, było surowo zakazane.

Zepchnięte do podziemia życie kulturalne społeczeństwa polskiego stworzyło formy zastępcze na miarę nie mającą analogii w innych okupowanych krajach. Pisał o tym wybitny humanista, prof. Kazimierz Wyka: „Twórczość kulturalna i poczynania organizacyjne w tej dziedzinie stwarzały poczucie ciągłości życia i kultury narodowej. Kiedy w 1945 roku całość ziem polskich została wyzwolona, kultura polska przedstawiała nie tylko obraz dewastacji i ruiny, ale również przykład sprężystości społeczno-organizacyjnej i walorów ideowych, od których mogła się rozpocząć rekonstrukcja tej pauczyny w Polsce Ludowej”.

Hitlerowscy okupanci przeliczyli się. Wbrew ich wyrokowi, kultura polska żyła. Wyszła z wojny z głębokimi ranami, ale przetrwała czasy panowania brunatnych barbarzyńców. Już w rok po wojnie, nakład łączny wydawanych w Polsce książek był większy o 10 mln egzemplarzy od łącznego nakładu w 1937 roku. Podjęto dzieło bez precedensu w skali światowej: odbudowy i rekonstrukcji zabytków, które okupant zmienił w gruz. Kultura stała się w odrodzonej Polsce dobrem powszechnym i dziś przeżywa swój rozkwit.

# STRATY POLSKIEJ KULTURY

kościół Mariackiego w Krakowie, ograbiono Muzea Narodowe w Warszawie i Krakowie, Muzeum Czartoryskich (m. in. obrazy Leonarda da Vinci, Rafaela i Rembrandta), pałace w Łazienkach i Wilanowie, Katedrę Wawelską w Krakowie, Ossolineum (m. in. rysunki Duerera), warszawską „Zachętę”, zbiory Potockich, Zamojskich. Zniszczono wiele zabytkowych budowli, wśród nich zabytkowy kościół w Wiśliczu, barokowy kościół O.O. Bernardynów w Poznaniu, kościół w Ostrowązu. Prof. Karol Estreicher napisał: „W Polsce nie po raz pierwszy zalew kraju przez nieprzyjaciela la-czył się z lupieniem dzieł kulturalnych, ale nigdy zniszczenie nie było tak całkowite jak podczas tej wojny, nigdy tak „naukowe”. Waż-

wolno było drukować książki i czytać inne prasy, jak tzw. gadzinowe, nie mogli korzystać z bibliotek i muzeów; za słuchanie radia groziła śmierć. Rozwiązano instytucje, stowarzyszenia i związki kulturalne, a ich mienie skonfiskowano. Zamknięto szkoły wyższe i średnie ogólnokształcące. W szkołach powszechnych i zawodowych nie wolno było nauczać historii i geografii Polski, a także wielu innych przedmiotów. Na obszarze przyłączonym do Rzeszy sytuacja była jeszcze cięższa: nie było tam w ogóle polskich szkół. Okupant próbował sprowadzić Polaków do poziomu ludzi pozbawionych jakiegokolwiek potrzeb i ambicji kulturalnych, do wytworzenia w nich kompleksu „podludzi”. Np. życie muzyczne o-

Reaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracujące: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄZEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

odgłosy



## Dalszy ciąg ze str. 1

**CHRONOWE.** Nie pozwolili oddziaływać się zebrać i unieszkodliwić go wszystkimi dostępnymi środkami". Gazeta wskazywała, że „widły, cepy, kłonicie, kosy w braku innych narzędzi walki, muszą stanowić naszą broń”.

## Wzrastało napięcie.

Halina Regulska zanotowała w swoim dzienniku pod datą 29 sierpnia 1939 roku, wtorek:

„Ciągłe dochodzą wiadomości o utarczkach wywołanych przez Niemców na granicy polsko-niemieckiej. Atmosfera napięta. Stefan telefonował z „frontu” i mówił, że widział już pp. „fryców” i że będą „chrzcy”.

Nadal toczyła się uparta gra dyplomatyczna. Gra ta nie dawała jednak żadnych wyników. Mimo to nie wszyscy wierzyli w możliwość wybuchu wojny. Prasa uspokajała, budziła zaufanie do sojuszników, którzy byli przecież daleko. Łódzkie „ECHO” pisało we wtorek, 29 sierpnia 1939 roku:

„Wielka Brytania w swej odpowiedzi odrzuca stanowczo żądania Niemiec. Każda próba agresji zostanie zgnieciona. Dla Hitlera istnieje jeszcze możliwość odwrótu? Anglia i Francja wierzą w szybkie zwycięstwo w razie wojny”.

I dalej:

„ŁÓDZ DOSTATECZNIE ZAOPATRZONA WE WSZYSTKIE ARTYKULY PIERWSZEJ POTRZEBY”.

W Warszawie pojawiły się plakaty o mobilizacji. Pierwszy dzień mobilizacji wyznaczono na 30 sierpnia 1939 roku. Interweniowali ambasadorowie Francji i Anglii, uważając, że obwieśczenie o mobilizacji może rozdrażnić Hitlera i utrudnić jakiegokolwiek rokowania. W dwie godziny później zerwano obwieśczenia o mobilizacji.

Mimo napiętej sytuacji życie toczyło się nadal. Ludzie wracali z urlopów, zbliżał się rok szkolny. Planowano rodzinne spotkania. Teatry przygotowywały się do sezonu. W niedzielę, 3 września 1939 roku miał się odbyć mecz międzypaństwowy w piłkę nożną Polska — Bułgaria. W związku z tym „ECHO” informowało, że „Piłkarze Bułgarii przybywają do Polski w piątek, 1 września”.

W widowisku telewizyjnym „Przed burzą” Ryszarda Frelka i Włodzimierza T. Kowalskiego, jest taka scena, kiedy premier rządu Jego Królewskiej Mości zarządza ścisłą tajemnicą obrad i oddaje głos ministrowi spraw zagranicznych, lordowi Halifaxowi. Lord Halifax wtedy mówi:

— „Razem z premierem w ostatnich dniach odbyliśmy rozmowę z pewnym szwedzkim przemysłowcem mieszkającym w Niemczech, którego będę określał jako „Mr D”. Otóż „Mr D.” pozostaje w bliskich stosunkach z Göringiem, który — jak twierdzi „Mr D.” — chce przyczynić się do uratowania pokoju”.

Owym „Mr D.” był inżynier Birger Dahlerus, przemysłowiec, którego ściągnięto telefonicznie ze Sztokholmu. Miał on odegrać swoistą rolę w wielkiej grze dyplomatycznej. Miał wprowadzić w błąd Foreign Office. Czy był świadom roli, jaką mu przydzielili Niemcy? Adolf Hitler realizował konsekwentnie swoje zamierzenie całkowitego izolowania Polski. Jego już nie interesowało zagarnięcie Polski „na raty”, jak to było z

Czechosłowacją. Jeśli cofną decyzję o ataku na Polskę 26 sierpnia 1939 roku, to tylko dlatego, aby skłonić dyplomatycznymi zabiegami Anglię i Francję do odejścia od zobowiązań, jakie podjęły w stosunku do Polski. Inż. Birger Dahlerus kursował między

życia — pisał — „mamy soli jeszcze na blisko... 10 000 lat”.

Tego dnia ogłoszono mobilizację w Polsce. W Berlinie w wyniku toczącej się gry dyplomatycznej oczekiwano przedstawiciela Polski, który miałby podjąć bezpośrednie rokowania z Niemcami. Właściwie nikt dokładnie nie wiedział, jakie są ostatnie żądania Niemiec. Dopiero wieczorem minister Rzeszy, Joachim von Ribbentrop odczytał 16 punktów ambasadorowi Wielkiej Brytanii, Henderssonowi. Dokument ten nie był znany w Polsce. Niemcy domagali się natychmiastowego „powrotu” Gdańska do Rzeszy, przeprowadzenia plebiscytu na obszarze od Bałtyku do Grudziądza i Chełma, Kanalu Bydgoskiego i Noteci, z którego to obszaru natychmiast miały ustąpić wszelkie władze polskie.

Tego też dnia o godz. 14.15 okręty Rzeszypospolitej Polskiej „Błyskawica”, „Grom” i „Burza” odpłynęły z Oksywia i skierowały się do Wielkiej Brytanii. ORP „Wicher” pozostał dla obrony polskiego wybrzeża.

Wstał

## ostatni dzień pokoju,

31 sierpnia 1939 roku. Mało kto spodziewał się, że już następnego ranka przyniesie wojnę.

„Dzień ten — napisał w swoich wspomnieniach Marian Walentynowicz („Wojna bez patosu”) — nie różni się od zwykłego warszawskiego dnia upalnego lata. W wyglądzie ulic i w zachowaniu się ludzi nie można zauważyć nic szczególnego. Ale choć w kawiarniach jest chyba nawet większy tłok niż zwykle, to jednak są one mniej gwarne, za to jakieś przygnębione i zamyślane. W ogródku Philippsa na Mazowieckiej lokatorzy kopią rowy przeciwlotnicze”.

Wychodzący w Łodzi „GŁOS PORANNY” zachęcał:

„URLOP W SŁOŃCU na plaży w Carmen Silva połączony ze zwiedzaniem Bukaresztu i Konstantynopola — 3. IX. — 24. IX. — 199 złotych”.

„ECHO” donosiło:

„Eden w swej mowie radiowej do obywateli Stanów Zjednoczonych domaga się bezwzględnej i bezkompromisowej rostrzygnięcia. Odpowiedź Wielkiej Brytanii Hitlerowi nie pozostawia mu żadnej iluzji. Oburzone za okupację Słowacji i Węgry — łączą się z Rumunią”.

Opublikowano również odezwę wojewody łódzkiego — Henryka Józefskiego do mieszkańców województwa łódzkiego, które wówczas było województwem przylegającym bezpośrednio do granicy polsko-niemieckiej.

„Nadeszła dla Polski chwila historyczna — pisał wojewoda H. Józefski. — Cały naród jest gotów dać ofiarę z życia i krwi w obronie honoru i granic Rzeczypospolitej Polskiej”.

Od dłuższego czasu trwa walka nerwów, z której wyszliśmy zwycięsko...”.

Dalej wojewoda H. Józefski wzywał do zachowania spokoju, dyscypliny, ostrzegając, że wszyscy, którzy będą działali na szkodę państwa, zakłócać spokój i łamać dyscyplinę zostaną surowo ukarani.

„ECHO” instruowało też, „Jak uszczelnić pokój na wypadek ataku lotniczego”. Zapowiadało program radiowy na piątek, 1 września 1939 r.:

„6.30 — pieśń poranna,

6.35 — gimnastyka,

6.50 — muzyka z płyt,

7.00 — dziennik poranny,

7.15 — muzyka z płyt,

8.15 — kłopoty i rady: „Urwanie głowy” — dialog (z Katowic)...”.

W rubryce: „Co nas po pracy rozweseli?”, repertuar kin:

„CASINO: Młode serca

CAPITOL: Macierzyństwo

CORSO: Kobiety nad przepaścią

GRAND KINO: Bohater Legii Cudzoziemskiej...

ZACHĘTA: Listy z pola bitwy.

Spotkali się w Paryżu”.

31 sierpnia 1939 roku Marian Walentynowicz, który był wówczas projektantem wnętrza w willi ministra

Józefa Becka, został zaproszony na godzinę 19 na kolację, w czasie której miano uzgodnić dalsze szczegóły w sprawie projektowanych mebli.

„A więc nie jest tak źle — pomyślał wówczas Marian Walentynowicz — skoro te orientujące się w sytuacji sfery uważają za możliwe zajmowanie się tak codziennymi sprawami i układaniem długofalowych planów”.

Ale kolacja przebiegała w pośpiesznym nastroju. Radio Berlin nadało o godzinie 21, propozycje niemieckie zawarte w 16 punktach. Józef Beck tych punktów nie znał. „Beck słucha uważnie — wspomina M. Walentynowicz — tylko od czasu do czasu uderza pięścią w poręcz fotela. Po skończonej audycji poleca wezwać ambasadorów Francji i Anglii i z sekretarzami zamyka się w swoim gabinecie”.

Tu małe wyjaśnienie. M. Walentynowicz w „Wojnie bez patosu” napisał wprawdzie, że Józef Beck słuchał radiowego przemówienia Joachima von Ribbentropa, ale żaden z autorów opisujących ostatni tydzień pokoju takiego przemówienia nie odnotowuje, wszyscy wspominają natomiast o 16 punktach, które radio Berlin nadało 31 sierpnia 1939 roku o godzinie 21. Stąd należy przypuszczać, że J. Beck właśnie tego słuchał. W każdym razie scena ta oddaje atmosferę ostatnich godzin pokoju.

Wczesnym rankiem w piątek,

1 września 1939 roku

na polskie miasta i wsie spadły bomby, a wojska niemieckie przekroczyły na całej długości granicę. Rozpoczęła się wojna. Gazety poranne nie zdążyły już odnotować faktu wybuchu wojny. „GŁOS PORANNY” informował tego dnia:

„Bajka o opanowaniu przez Polaków radiostacji nadawczej w Gliwicach”.

To był właśnie ów pretekst, który Hitler miał dać propagandzie. Do Gliwic sprowadzono nawet angielskiego dziennikarza, aby mógł naocznie przekonać się, że „Polacy” sprokoczą wojnę. Prowokacji tej dokonał członek SS od 1931 roku Alfred Naujocks na rozkaz szefa gestapo Reinhardta Heydricha.

Poza tym „GŁOS PORANNY” donosił:

„RUCHY ANTYHITLEROWSKIE W RZESZY. Szalony popłoch w Gdańsku. Ewakuacja do Prus Wschodnich żon i dzieci dygnitarzy hitlerowskich”.

Informował o zdezercerowaniu do Polski dwóch żołnierzy niemieckich: Karla Gommela z pułku lotniczego w Doeberitz i Alfonsa Suchy z 27 pułku piechoty. „GŁOS PORANNY” zapraszał do kawiarni „SIM”, gdzie od 1 września 1939 roku koncertował S.

Weinrot — „ulubieniec łódzkiej publiczności ze swoim znakomitym zespołem”.

W gazetach widać pełne zaskoczenie. Popołudniówka „ECHO”, która już donosi, że „o swiecie 1 września 1939 roku sily zbrojne Rzeszy Niemieckiej rozpoczęły działania wojenne przeciw Polsce” przynosi jednocześnie ogłoszenie o wycieczce autobusowej na Zaolzie, którą organizuje PBP „Orbis” oraz informuje, że za 90 złotych można wybrać się do uzdrowisk słowackich, a ci którzy pojadą do Domu Polskiego w Warszawie mogą skorzystać z bezpłatnych kuracji winogronowych.

Tego rodzaju ogłoszenia nie zniknęły do końca z lamów gazet. Ukazywały się one obok doniesień z zarządzeń, komunikatów wojennych i zarządzeń. 4 września 1939 roku „ECHO” pisało, że „pierwsze dni wojny wykazały doskonałość polskiej broni, stracono niemieckie samoloty” oraz zapraszało na otwarcie dancingu „Cyganeria”. Informowało również, że w Przemyslu wielką sensacją wywołało przejście na judaizm rodowitej Niemki, Anny J., która przed paru dniami przyjechała do Polski za swoim przyjacielem Samuelem R. wysiedlonym uprzednio z Niemiec. W „GŁOSIE PORANNYM” natomiast uparcie przez wszystkie pięć numerów, jakie ukazały się we wrześniu 1939 roku powtarzało się ogłoszenie o tym, że „Argus” organizuje „do Francji wyjazd indywidualne i grupowe drogą morską, lądową i powietrzną” oraz o tym, że takie same wyjazdy organizuje się do Argentyny, Brazylii, Chile i Wenezueli.

4 września 1939 roku niemiecka łódź podwodna zatopiła w odległości 200 mil od Hebrydów brytyjski statek pasażerski „Athenia”, na pokładzie którego byli obywatele USA i Kanady. Gazety z nadzieją zapytywały, czy powtórzy się historia z „Lusitanią”, której zatopienie przez niemiecką łódź podwodną spowodowało przystąpienie USA do pierwszej wojny światowej.

5 września 1939 roku „GŁOS PORANNY” ukazał się tylko na czterech stronach, a „ECHO” na dwóch. W „GŁOSIE PORANNYM” można przeczytać o tym, że „KANAL KILŃSKI ZBOMBARDOWANY! Lotnicy angielscy zniszczyli szereg wojennych okrętów niemieckich”, a także, „Hitler wykradł się z Berlina w ciemnościach w obawie przed nieustającymi demonstracjami robotników”. Nie była to jednak ucieczka Adolfa Hitlera z Berlina, a tylko jego wyjazd późnym wieczorem z ciemnoniebieskiego miasta w kierunku frontu — jak to wynika z uważnej lektury informacji.

Niemieckie bomby spadły na Łódź 2 i 3 września 1939 roku. 5 września zalałami się obrona polskich wojsk na przedpolach Piotrkowa Tryb. Tego dnia zaczęto ewakuować z Łodzi polskie urzędy. 8 września wieczorem dotarły do Łodzi niemieckie patroly. 9 września 1939 roku Łódź została opanowana przez Niemców.

Wojsko polskie broniło się jeszcze do pierwszych dni października 1939 roku. A później zaczęła się tragiczna dla naszego narodu okupacja hitlerowska.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## NIE TYLKO HISTORIA

## STARY ZGIERZ

W 1860 roku na zlecenie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych sporządzono opisy miast Królestwa Polskiego. Wśród ankietowanych ośrodków miejskich znalazł się także Zgierz. Raport o stanie miasta sporządził tego ówczesny prezydent Michał Blumenfeld.

Z raportu Blumenfelda wynika, że najstarsza część Zgierza leżała na dość wyniosłym wzgórzu na prawym brzegu Bzury, podczas gdy dzielnica przemysłowa rozciągała się na niższych terenach po przeciwnej stronie rzeki. Baura wypływała z

dużego, sztucznie utworzonego zalewu, by następnie przecieć miasto dwiema odnogami, na których pobudowano pięć drewnianych mostów. Nad rzeką znajdował się folusz, stanowiący własność ogółu sukienników.

Przez Zgierz przechodził trakt fabryczny od Kalisza i Łodzi do Łowicza i Warszawy a także trakt bity z Piotrkowa Trybunalskiego do Łęczycy. Na traktach tych kursowały poczty konne. W mieście znajdowała się stacja pocztowa założona w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Znaczenie zgierskiej stacji musiało być znaczne, skoro dyliżans pocztowe obsługiwało dwanaście koni. Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się w Rogowie, oddalonym od Zgierza o 30 km na trasie drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej.

Zgierz w opisywanym czasie posiadał 29 ulic, 2 rynki i obszerny plac przed kościołem katolickim. W mieście znajdowało się ponad 450 domów, w tym blisko trzecia część murowanych. Znaczniejšie budynki stały przy ulicach: Długiej, Wysokiej, Wesołej, Zęgrzańki, Błotnej, Łódzkiej, Szczepińskiej i Zakrętej oraz w rynkach Starego i Nowego Miasta. Obcydwa rynki, jak i większość ulic, były zabrukowane. Miasto oświetlały latarnie rewerberowe opalane olejem.

Do bardziej reprezentacyjnych budowli Zgierza należał ratusz, wzniesiony w 1846 roku. Był to budynek murowany, piętrowy, z zabudowaniami gospodarczymi w podwórzu. Oprócz pomieszczeń urzędu miejskiego znajdował się tu również sąd pokoju i arest miejski. Własnością miasta były także jatki murowane rzeźniczo-piekarskie, mieszczące 36 sklepów, drewniany budynek rzeźni oraz szopa na narzędzia kościelne.

Miasto posiadało dwa murowane kościoły: katolicki, wzniesiony w 1825 roku oraz ewangelicki, zbudowany w dwa lata później. Oprócz wymienionych świątyni na emmentarzu gminnym katolickim (przy dzisiejszej ul. Piotra Skargi) stał dotąd zachowany drewniany kościółek szpitalny, wystawiony w 1644 roku. W żydowskiej części Starego Miasta wznosiła się niedawno pobudowana murowana bożnica.

Należy tu zaznaczyć, że Żydzi zgierscy zamieszkiwali wtedy w przeznaczonym wyłącznie dla nich rewirze. Już bowiem w tzw. umowie zgierskiej, regulującej sprawy osadnictwa w Zgierzu, imigranci niemieccy kategorycznie zastrzegli, że na terenie Nowego Miasta Żydom nie będzie wolno się osiedlać. Najdotkliwszą dyskryminacją uległa ludność żydowska postanowieniem namiestnika Królestwa Polskiego z 1825 roku, w którym zaznaczono, że oddat Żydom wolno będzie wyłącznie „mieszkać, place puste nabywać i domy podług przepisów policyjnych wystawiać w Zgierzu w jednej stronie ul. Sieradzkiej na południe leżącej (...) i obydwóch stronach ul. Łódzkiej”.

Dla wygody przyjezdnych Zgierz posiadał dwa murowane hotele oraz siedem domów zajezdnych. Do ostatnich czasów zachował się budynek zajezdni przy Starym Rynku nr 3 (obecnie plac Armii Czerwonej). W mieście były także 24 karczmy i 3 cukiernie. Stacjonujący w Zgierzu garnizon wojskowy miał do swojej dyspozycji murowane koszary oraz drewnianą ujeżdżalnię.

W 1860 roku Zgierz liczył około 12 000 stałych mieszkańców. Wśród nich Polacy stanowili ponad 44 proc., Niemcy — blisko 35 proc. i Żydzi — 21 proc. Czasowo zamieszkiwało w mieście 1200 osób. Większość ludności zatrudniona była w przemyśle, zwłaszcza wełnianym.

We wspomnianym czasie w Zgierzu nadal przewała produkcja wyrobów wełnianych. Do znaczniejszych fabryk tej gałęzi włókiennictwa należały zakłady Henryka Raegbena, Ernesta Kuntzegego, Wilhelma Zippela i Antoniego Długoszewskiego. Wszystkie one wyposażone były w napęd parowy. Oprócz wymienionych zakładów produkcja wyrobów wełnianych trudniło się 116 drobnych sukienników. Ogółem w przemyśle wełnianym Zgierza pracowało wtedy ponad 1 300 majstrów i robotników.

„Stan fabryk wełnianych i produkcja wyrobów (...) powiększyła się, bo fabrykanci, starając się o dobre wyroby, nie szczędzą na to wysiłków tak w nabywaniu udoskonalonych maszyn, jako też w poszukiwaniu zdalnych majstrów” — pisał prezydent miasta.

Głównym zakładem przemysłu bawełnianego na terenie Zgierza nadal była przedsiębiorstwa Fryderyka Wilhelma Zacherta. W mieście znajdowała się także fabryka wyrobów jedwabnych Edwarda Hauzera.

Zgierz posiadał również niewielki przemysł spożywczy. Ograniczał się on do istnienia 18 młynów wietrznych i 1 browaru.

Rzemiosło zgierskie zrzeszone było w 16 cechach. Do najznaczniejszych należały cechy sukienniczy i tkacki. W handlu zatrudnionych było ponad 70

osób. W mieście odbywały się targi dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, które licznie odwiedzali chłopi z okolicznych wsi. Warto tu dodać, że w samym mieście uprawa roli, głównie na starymiejskich gruntach, trudniło się około 160 osób.

Oplekę zdrowotną nad mieszkańcami Zgierza sprawowało 5 lekarzy, 2 cyrulików i 2 akuszerki. Na miejscu znajdowała się apteka. Brak było jednak w mieście szpitala i ciężkie choroby odwożono do szpitali w Łodzi i Łęczycy. Kalkami i starcami opiekował się zakład dobroczynny, który w drewnianym domu urządził dla nich przytułek.

Zgierz posiadał wtedy dwie szkoły rządowe elementarne, oddzielnie dla katolików i ewangelików, a także dwie szkoły prywatne. Jedyną biblioteką po zmarłym ks. Ogińskim licząca 5 000 książek, znajdowała się w prywatnym posiadaniu. W mieście nie było dotąd drukarni i litografii.

Życie towarzyskie i kulturalne mieszkańców Zgierza rozwijało się słabo. Największą aktywnością w tym względzie wykazywało Towarzystwo Strzeleckie, niezmiernie popularne wśród niemieckich przybyszów. W zime członkowie Towarzystwa organizowali zabawy karnawałowe a w okresie letnim urządzali festyny w parku miejskim lub w okolicznych lasach. Niekiedy, acz niezmiernie rzadko, pojawiały się w mieście objazdowe trupy dramatyczne. Podobno występy teatralne w Zgierzu zapoczątkował w 1840 roku zespół Wincentego Raszewskiego. Później bawiły tu trupy wędrowne Ludwika Kłyszynskiej, Ignacego Marzantowicza, Jana Okońskiego i innych. Częściej natomiast zaglądali do miasta włóknarzy przeróżne panoramy, stereoskopy, karuzele i cyrki. Cieszyły się one większym powodzeniem aniżeli teatr, u mało jeszcze wyrobionej kulturalnie zgierskiej publiczności.

WACŁAW PAWLAK

ODGŁOSY 3



## NASZA ROZMOWA

z profesorem dr  
**JANEM MICHALSKIM**  
przewodniczącym Oddziału  
Łódzkiego PAN, dyrektorem  
Centrum Badań Molekularnych  
PAN w Łodzi



„Działamy na rzecz integracji środowiska naukowego w mieście...”

— Jak ocenia Pan dorobek łódzkich chemików w minionym 35-leciu?

— Łódź stała się silnym ośrodkiem nauk chemicznych, które uprawiane są we wszystkich rodzajach placówek naukowych — w wyższych uczelniach, instytutach resortowych oraz w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych. W wielu dyscyplinach chemicznych wyniki prac są szeroko znane i wysoko cenione za granicą.

— Które to dyscypliny?

— Badania mechanizmów polimeryzacji i struktury polimerów, chemia i stereochemia fosforu i siarki, chemia związków heterocyklicznych oraz chemia radiacyjna. Cenny dorobek posiadają także łódzcy badacze pracujący w innych dziedzinach chemii.

Mamy wiele dowodów zainteresowania chemików z całego świata badaniami prowadzonymi w Łodzi. Uczni z czołowych ośrodków badawczych, m. in. ze Związku Radzieckiego, USA, Wielkiej Brytanii, RFN i Francji są częstymi gośćmi naszych placówek naukowych. W wielu galejach chemii staliśmy się równocześnie partnerami dla najlepszych.

Obecnie przygotowujemy pod patronatem Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej (IUPAC) konferencję naukową na temat: „Biologiczne aspekty chemii fosforu”, która zgromadzi czołowych uczonych świata. Potwierdził swój przyjazd lord Todd — laureat Nagrody Nobla, prezes Royal Society czyli Królewskiej Akademii Nauk w Wielkiej Brytanii. Lord Todd był już u nas wcześniej. Tym razem otworzy obrady wspomnianej konferencji, będzie jej honorowym przebycie zapowiedział także wybitny uczyony amerykański, profesor Uniwersytetu Harvarda — Frank Westheimer, który był doradcą naukowym prezydenta J. F. Kennedy'ego. Przyjadą też znakomici chemicy ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Japonii, RFN i innych krajów.

Fakt organizowania przez nas tak poważnej konferencji naukowej jest naturalnym skutkiem stałych niezwykle ożywionych kontaktów z zagranicznymi ośrodkami badawczymi. Wielokrotnie przebywali na stażach podoktorskich w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN naukowcy z USA, Wielkiej Brytanii, Japonii i innych krajów. Niedawno gościliśmy wybitnego specjalistę od reakcji w roztworach profesora Uniwersytetu Technicznego w Wiedniu, członka Austriackiej Akademii Nauk — Wiktora Guttmana, który był głównym referentem na zorganizowanym w Łodzi sympozjum naukowym. Uczni tej klasy nie przyjeżdżaliby do Łodzi, gdyby nie byli pewni, że spotkają się tu z bardzo wnikliwą dyskusją naukową oraz z krytyczną analizą przedstawionych poglądów. Wiedzą, że pobyt w naszym ośrodku przyniesie im korzyści naukowe. Dziś nie mamy już wizyt o charakterze wyłącznie kurtuazyjnym. Miną już czasy, gdy zapraszaliśmy innych tylko po to, by się od nich uczyć.

— Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN zawarło, podobnie jak łódzkie wyższe uczelnie, wiele umów o współpracy z zagranicznymi placówkami badawczymi. Które z tych porozumień przyniosą największe korzyści naukowe?

— Na szczególne wyróżnienie zasługuje współpraca, kierowanego przez profesora Wojciecha Jacka Steca, Zakładu Chemii Bioorganicznej naszego Centrum z Instytutem Badań

nad Rakiem Chester Beatty w Londynie. Z tym najważniejszym brytyjskim ośrodkiem, zajmującym się mechanizmami powstawania i metodami zwalczania nowotworów, prowadzimy wspólne kompleksowe prace naukowe. My zajmujemy się badaniami o charakterze chemiczno-stereochemicznym, natomiast nasi partnerzy z Wielkiej Brytanii interesują się biologiczną stroną problemu. Oczywiście konieczność skoordynowania badań biologicznych i chemicznych dotyczących zwalczania nowotworów sprawia, że zarówno Angliecy, jak i my szukaliśmy partnerów do współpracy napotykając na spore trudności. Wreszcie trafiliśmy na siebie i dziś bardzo owocnie współdziałamy. Mamy już pewne efekty, czego dowodem, przyznanie zespołowi mieszanemu, kierowanemu ze strony polskiej przez prof. dr W. J. Steca, a ze strony brytyjskiej przez prof. dr A. D. Forstera nagrody naukowej Amerykańskiego Towarzystwa Farmakologii i Terapii. Doświadczalnej za najlepszą publikację w 1978 roku w dziedzinie badań nad metabolizmem substancji przeciwnowotworowych. W Wielkiej Brytanii umowie patronuje Royal Society, natomiast w Polsce nasze prace wykonywane w ramach porozumienia z instytutem w Londynie stanowią fragment rządowego programu badawczo-rozwojowego „zwalczanie chorób nowotworowych”.

Bardzo owocnie rozwija się też, oparta o wieloletnie umowy nasza współpraca z Instytutem Elementów Organicznych Akademii Nauk ZSRR i z Centralnym Instytutem Chemii Organicznej — Akademii Nauk NRD. Wymieniliśmy umowy dotyczące chemii organicznej i bioorganicznej. Podobne robotce i dobrze funkcjonujące porozumienia mamy w dziedzinie chemii i fizyki polimerów. Szczególnie efektywna okazała się współpraca z Instytutem Badań Polimerów wchodzących w skład Narodowego Centrum Badań Naukowych (CNRS) we Francji, z Instytutem Związków Wielocząsteczkowych AN ZSRR w Leningradzie oraz z Instytutem Chemii Polimerów Ukrainskiej Aka-

demii Nauk w Kijowie. W ramach tych umów prowadzimy wymianę stażystów i wspólne prace badawcze, których efektem były liczne publikacje naukowe.

— Obszarem Pana pracy badawczej jest chemia i stereochemia fosforu. Dlaczego spośród

nie upraw przed szkodnikami. Związki fosforu wykorzystuje się też do modyfikacji wielu materiałów. W szczególności można przy ich pomocy zmieniać własności polimerów — związków wielocząsteczkowych stosowanych m. in. do produkcji różnorodnych tworzyw sztucznych i włókien syntetycznych. Przykładowo podam, że właśnie związkom fosforu zawdzięczamy możliwość obniżenia palności włókien sztucznych, poprawy właściwości smarów, olejów i płynów hydraulicznych oraz produkcji nowych leków. Jednak nie te liczne zastosowania decydują o szczególnym znaczeniu związków fosforu.

Uważam, że znacznie istotniejsza jest ich rola, jaką pełnią w organizmach żywych. Przede wszystkim są przekazywaczami energii i cech genetycznych. Odgrywają podstawową rolę w biosyntezie białka. Zawierające fosfor polimery, układy enzymatyczne oraz części takich układów — tzw. koenzymy decydują o podstawowych funkcjach istot żywych. Na przykład trójfosforan adenozyński (ATP) jest związkiem, bez którego nie byłoby możliwe przenoszenie energii w organizmie. To, że teraz rzucam ręką, mogą zawdzięczać właśnie temu związkowi. Aby zrozumieć istotę funkcjonowania organizmów żywych, trzeba zbadać mechanizmy przekazywania energii oraz informacji genetycznych. Konieczne są w tym celu pogłębione badania związków fosforu.

Wszyscy zgadzamy się, że poznanie ożywionej przyrody jest jednym z najważniejszych zadań nauki. Jeśli jednak nie rozumiemy dokładnie przemian chemicznych, fizykochemicznych i strukturalnych fosforu i jego związków, nie będzie możliwy dalszy harmonijny rozwój nie tylko chemii i biochemii, ale też biologii i medycyny. Związki te odgrywają bowiem kluczową rolę w organizmach żywych. Choć objętościowo i wagowo stanowią niewielki ułamek całego organizmu, jednak umiejscowione w tkance nerwowej umożliwiają wypełnianie najistotniejszych funkcji życiowych.

## POZNANIE PRZYRODY

## — NAJWAŻNIEJSZE ZADANIE NAUKI

— Jak wynika z podanego przez Pana tematu przygotowywanej w bieżącym roku konferencji międzynarodowej, właśnie te zagadnienia będą przedmiotem jej obrad.

— Tak. Udział w tej konferencji, którą organizujemy w Burzeninie nad Wartą, wielu

dów fosforowych. Mechanizmy przechodzenia z jednej do drugiej, ściślej — zmiany wartościowości, nie zostały jeszcze w pełni zbadane, choć ich poznanie ma kluczowe znaczenie dla nauki. Ostatnio wraz ze swoimi współpracownikami badałem warunki, jakie muszą być spełnione, by w fosforze (tzw. pięciokoordynacyjnym, a więc posiadającym pięć wiązań), można było wymienić podstawnik — pierwiastki, z którymi się łączy. Po wykonaniu w laboratorium doświadczeń modelowych udało nam się wyjaśnić ten mechanizm, z czym — mimo wysiłków w tym kierunku — nie poradzili sobie dotychczas poważne zespoły amerykańskie.

— Półtora roku temu powołano w Łodzi Oddział Polskiej Akademii Nauk, którego jest Pan przewodniczącym. Jakie są główne zadania Oddziału?

— Oddział nasz, podobnie jak inne terenowe oddziały PAN, wykonuje w swoim regionie ogólne zadania, jakie stawia przed sobą Polska Akademia Nauk. Trzeba przy tym pamiętać, że jest to z jednej strony sieć placówek naukowo-badawczych, z drugiej — korporacja uczonych, na której spoczywa obowiązek dbania o stan i rozwój nauk, szczególnie w dyscyplinach poznawczych, inicjowania badań ich właściwego ukierunkowania i tworzenia warunków do ich pełnego rozwoju. Staramy się by Oddział PAN w Łodzi pełnił także funkcje w stosunku do łódzkich placówek badawczych. Powołaliśmy cztery komisje przedmiotowe — nauk humanistycznych i społecznych, nauk ścisłych, nauk biologiczno-medycznych i nauk technicznych oraz komisję problemową obejmującą zagadnienia z pogranicza nauki i kultury. Stosunkowo mała liczba tych komisji stwarza warunki umożliwiającej integrację działalności naukowo-badawczej. Podam przykładowo, że komisja nauk biologiczno-medycznych, kierowana przez wybitnego biologa — profesora K. Kotelkowską, stała się pierwszym w Łodzi ciałem, w którym medycy dyskutują z biologami z uniwersytetu o interesujących obie strony problemach badawczych.

— Czy przed powstaniem Oddziału PAN pozycyna łódzkich placówek badawczych nie były skoordynowane?

— Pewne funkcje koordynacyjne pełniły i nadal spełniają: Kolegium Rektorów, Rada Naukowa przy Prezydencie m. Łodzi oraz Łódzkie Towarzystwo Naukowe. Brak było jednak inicjatora i koordynatora ważnych badań natury poznawczej prowadzonych w różnych łódzkich placówkach naukowych. Oddział PAN, ze względu zarówno na swój prestiż w środowisku, jak i dogodną strukturę organizacyjną, ma ambicje i możliwości spełniać tę rolę.

Działamy na rzecz integracji środowiska naukowego w mieście poprzez zapewnienie uczestnictwa w ciałach kolegialnych Oddziału przedstawicielom wszystkich ważniejszych instytucji naukowych, przez inicjowanie kontaktów między placówkami reprezentującymi trzy podstawowe piony nauki: Polską Akademię Nauk, szkolnictwo wyższe i tzw. zaplecze badawcze przemysłu, choć ta ostatnia nazwa — mimo iż powszechnie używana — nie jest najszczęśliwiej dobrana. Służącej byłoby mówić: awangarda postępu technicznego w przemyśle, bowiem badania naukowe wyprzedzają rozwój produkcji, a nie pozostają w tyle, jak sugeruje słowo „zaplecze”.

Warto też podkreślić nasze starania służące zacieśnianiu więzi środowiska naukowego z kulturalno-artystycznym.

— Czy integrująca i koordynująca rola Oddziału PAN będzie się przejawiać w inicjowaniu specjalnych przedsięwzięć, służących środowisku, czy też będzie polegała jedynie na tworzeniu optymalnych warunków do tworzenia wyników poglądów i doświadczeń?

— Nie możemy zaważyć naszej pracy tylko do inicjowania dyskusji. Przykładem bardzo konkretnego działania może być środowiskowe szkolenie kadry naukowej na poziomie doktorskim i wyższym, które rozpoczęliśmy w bieżącym roku. Szybkie zmiany wiedzy i stosowanych metod badawczych, lawinowy przyrost informacji naukowych, zmuszają każdego pracownika nauki do stałego samokształcenia. Wiem jednak, choćby z własnego doświadczenia, że tempo narastania wiedzy jest tak duże, iż samodzielne śledzenie postępu w jakiejś dyscyplinie naukowej, nie mówiąc już o dziedzinach pokrewnych, wykracza poza możliwości jednego człowieka.

Wszyscy więc uczymy się od innych. Muszą to być osoby kompetentne. Spoczywa na nich ogromna odpowiedzialność, gdyż przekazywanej przez nich wiedzy nie jesteśmy w stanie sprawdzić i „przetrawić”, lecz przyjmujemy ją a priori jako obiektywną.

Szkolenie, które będziemy organizować, ma na celu stworzenie możliwości oświecenia i poszerzenia wiedzy głównie młodym pracownikom badawczym, przygotowującym doktoraty, ale także doktorom, a nawet profesorom. Zamierzamy też część tego szkolenia ukierunkować tak, żeby mogli skorzystać z niego pracownicy naukowcy instytutów resortowych i innych placówek badawczych służących potrzebom przemysłu. Rozpocznemy szkolenie od nauk chemicznych, ale w przyszłości widzimy możliwość rozszerzenia tego przedsięwzięcia także na inne dziedziny wiedzy.

Jedną z konkretnych inicjatyw Oddziału PAN służących przenoszeniu wyników badań naukowych do praktyki społeczno-gospodarczej było powołanie specjalnego zespołu koordynacyjnego do spraw współpracy łódzkiej nauki z zagłębiem górniczo-energetycznym w Bełchatowie. Mamy ambicje wpłynąć na ustalenie optymalnego programu prac naukowych możliwych do wykonania w łódzkich placówkach badawczych na rzecz bełchatowskiego zagłębia. Jest to ogromna i nietypowa w skali światowej inwestycja. Trudno więc, bez przeprowadzenia wnikliwych analiz naukowych, przewidzieć dziś wszystkie możliwe skutki budowy i działania kombinatu dla środowiska naturalnego z różnych dziedzin życia.

— Dziękuję za rozmowę.

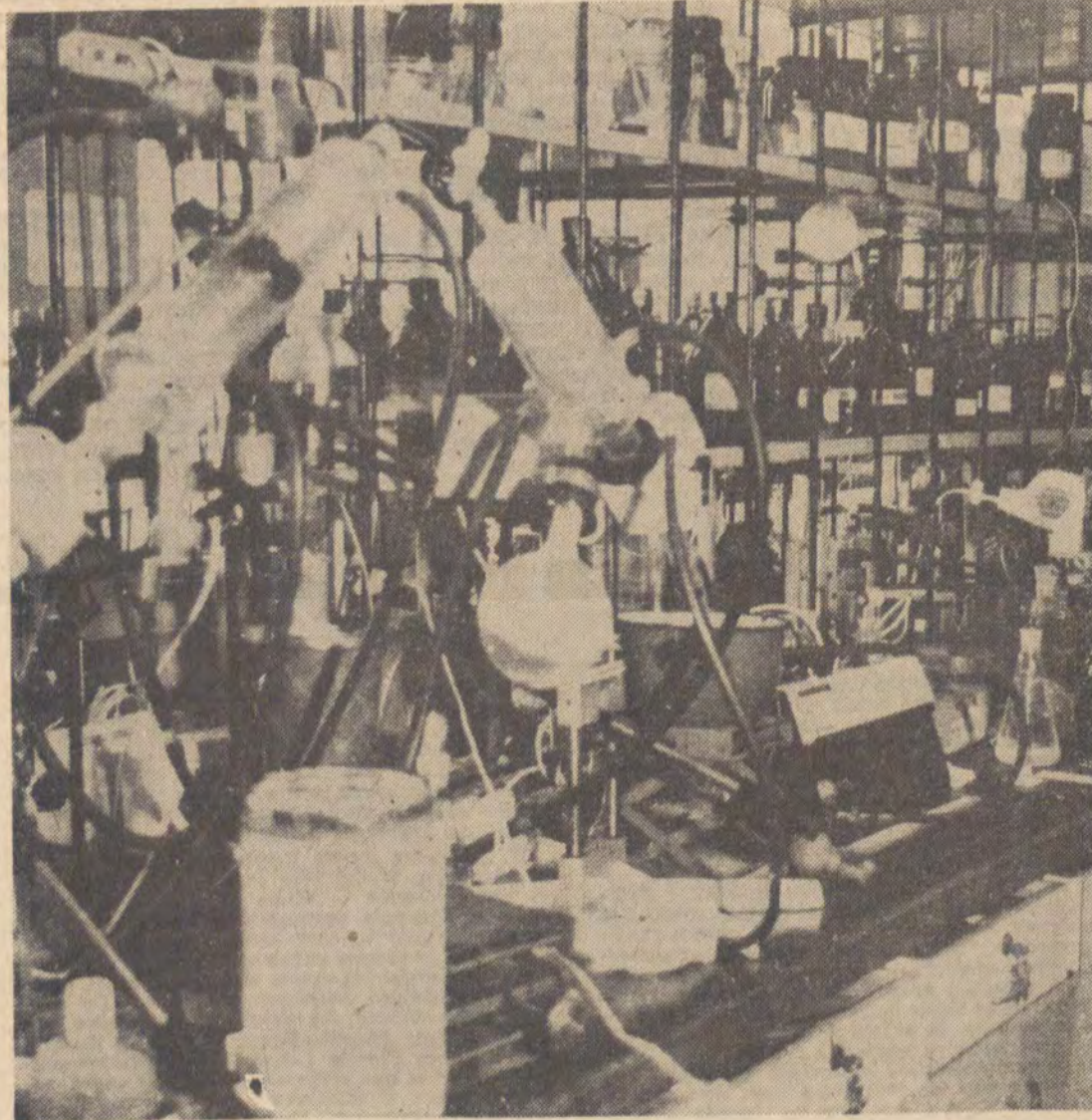


Foto: Zdzisław Lenart, Stanisław Wilczyński

ponad stu pierwiastków chemicznych akurat fosfor i jego związki stały się przedmiotem badań odrębnej dyscypliny naukowej?

— Związki fosforu znajdują szerokie zastosowanie w praktyce. Fosforoorganiczne środki ochrony roślin i nawozy fosforowe powszechnie wykorzystuje się w współczesnym rolnictwie. Badania prowadzone w CBMIM PAN i w Politechnice Łódzkiej w istotnym zakresie przyczyniły się do rozwoju produkcji polskich preparatów fosforoorganicznych służących ochro-

wybitnych uczonych z całego świata potwierdza tylko znaczenie chemii fosforu dla nauk biologicznych.

— Jakże badania z zakresu chemii fosforu prowadzi Pan obecnie?

— Są to trudne do popularnego wyjaśnienia zagadnienia związane ze strukturą i przemianami chemicznymi fosforu. Pierwiastek ten może łączyć się z innymi poprzez różne wiązania w liczbie od dwóch do sześciu. Wynika stąd niezwykle bogactwo możliwych struktur ukła-

Rozmawiał: PAWEŁ PATORA



To się nazywa mieć szczęście! Trudno zresztą określić rzecz inaczej, jako że za najmniejszą nawet ogłoszenie reklamowe płaci się całkiem pokaźne sumy. Tymczasem o mleczarskiej nowości „Fromage” napisała (darmo!) już bodaj każda szanująca się gazeta w kraju. No, może — nie włączając — poza „Swierszczykiem”, „Horizontami Techniki” i „Pielegniarką i Położną”. Jako jeden z ostatnich zabrał głos w tej sprawie Feliks z „Kobiety i życia”...

Zawsze to samo: co to za kalkulacja, oszukaństwo, w domu można zrobić zupełnie taki sam, kto na to pozwala itp. itd. Cóż, drodzy eksperci serkowi, którzy z uporem godnym lepszej sprawy liczyli, mnożyli i odejmowali: żyjemy w takim kraju, w którym ceny za wyroby wystawiane na sklepowych półkach ustala specjalna (państwowa zresztą) komisja. Pięćdziesiąt złotych za mizerny pęczek szczyptorki może tylko żądać handlarzka stojąca z koszykiem w bramie...

W zaciętrzewieniu nie zapominajmy także, jaka jest np. rzeczywista wartość kostki masła. Wiadomo chyba wszystkim jest, że do tego wyrobu, jako do tzw. artykułu pierwszej potrzeby dopłaca się znacznie. A co byście pisali koledy, kiedy za taką kostkę masła przyszło by płacić około 35 złotych? I właśnie dlatego, uznając serki typu „Fromage” za artykuł delikatny, bez którego można się całkiem dobrze obejść, ustalono, (właśnie ustalono, a nie: ustalił producent) taką cenę. Bez jakiegokolwiek dopłaty.

Myli się jednak ten, kto wszystkie problemy branży mleczarskiej widzi li tylko przez owe serki. Mleko, mleko i jeszcze raz mleko — to właśnie jest charakterystyczne dla całej mleczarskiej braci. A wraz z mlekiem — wszystkie przywileje, dobrodziejstwa i kłopoty. Tych ostatnich jest zresztą najwięcej. Jako artykuł kupowany najczęściej — jest ono w centrum zainteresowania nie tylko mieszkańców — klientów, ale i władz miasta oraz wszystkich pionów współpracujących z Zakładami Mleczarskimi.

Zainteresowanie to najczęściej przejawia się w skrupulatnym odnotowywaniu i wytykaniu — przy każdej okazji — najmniejszego potknięcia „mleczarzy”. Najczęściej pozwala to na chwilę chociaż zapomnieć o własnych kłopotach i trudnościach, często wręcz niekompetencji, czy — powiedzmy — niezadowolającym wyposażeniu placówek handlowych np. w urządzenia chłodnicze.

Druga strona — jeżeli uważa, że krytykuje się ją niesłusznie — broni się jak może. Gromadzi skrupulatnie wszystkie dokumenty dotyczące zamówień, ich realizacji i jakości. Czasem z taką podbudową wychyli się na jakiejś naradzie — wtedy sprawa cichnie. Nie na długo jednak.

I tak jest właściwie bez przerwy: my możemy, a oni nam zawalają robotę. My chcemy i mamy możliwości — to tamci jak na złość mówią o kłopotach.

U progu jesienno-gozdowego szczytu konsumpcji mleka i jego przetworów o sprawach zaopatrzenia miasta w te artykuły, o problemach jakości i dostawach wypowiedzieli się dyrektorzy WSS-owskiej gastronomii, handlu i producenta.

**IGNACY MALINOWSKI** — zastępca dyr. d/s handlowo-produkcyjnych Oddziału Gastronomii; oraz z-ca dyr. d/s zaopatrzenia i sprzedaży (Zakład Sieci Otwarłej) — **FRANCISZEK WAWRZYŃIAK** —

— Na dobrą sprawę to Zakłady Mleczarskie miały w tym roku tylko dwa ciężkie okresy. Ciężkie — to nie znaczy jednak beznadziejne. Zima — to wiadomo, a potem majowe i czerwcowe upały. Zupelnie inaczej w lipcu i sierpniu: ludź w mieście mniej, zapotrzebowanie chyba zmalało.

— Właśnie jesteśmy po lustracji pięciu naszych kawiarni. Może to się nie będzie komuś podobało, ale wychodzimy z założenia, że we wszystkich placówkach gastronomicznych należy zadbać o utrzymanie ciągłości sprzedaży artykułów mleczarskich. A więc nie tylko kawa, koniak i ciastka, ale także np. mleko czy jogurt.

— Oddzielnego omówienia wymagają bufety w zakładach pracy. Tu właśnie mamy

wąskie gardło, wąskie — dosłownie. Te ciasne korytarzyki, te strome schody — to duże utrudnienie dla dostawy. I najczęściej w takich przypadkach partia zamawianego towaru liczy się w kilogramach: trzy, cztery...

— Bez wątpliwa lepiej jest w barach mlecznych. Utrzymujemy asortyment wyrobów mleczarskich w pełnym zakresie. Ponadto, w dni wolne od pracy (soboty, święta) — dyżurujące placówki tego typu prowadzą sprzedaż mleka na wynos po cenach detalicznych.

— Obecnie, latem, dostawy są realizowane terminowo. Przeglądając dane za I półrocze można stwierdzić, że tylko w przypadku mleka, serów twarogowych i lodów — nasze zamówienia nie są pokrywane w pełni. Ale nie można mieć o to pretensji do producenta. Współpracujemy ze sobą od wielu lat i dlatego zdajemy sobie sprawę, że więcej nie da się zrobić. Są pewne bariery, których jeszcze nie daje się przeskoczyć...

— Według naszej oceny kontakty z Zakładami Mleczarskimi są pozytywne. Widzimy np. natychmiastową reakcję na nasze propozycje i postulaty.

— Chętnie widzimy, przyjmujemy i... czekamy na kolejne nowinki branży mleczarskiej. Jogurt naturalny czy smakowy, twarogki czy kefir — to artykuł, który jest przez klienta stale poszukiwany. I

niż koło własnych drzwi mieć ni to kiosk, ni to pawilon.

— Mleka nie brakuje. W zupełności wystarcza go na potrzeby miasta. Żeby jednak na tym polu nie występowały najmniejsze nawet zakłócenia — potrzebna jest wyjątkowo skrupulatna gospodarka i sumienność w wykonywaniu swoich obowiązków.

— Dobrze jest mieć takiego partnera, który nie broni się przed wprowadzaniem nowości, który zawsze ze zrozumieniem podchodzi do naszych propozycji. A my (jakiego partnera w Zakładach Mleczarskich mamy...

**IRENEUSZ LEŚNIEWICZ** — z-ca dyrektora d/s handlowych („Społem” — Poiesie);

— Z mojego punktu widzenia problematykę mleczarską w naszych placówkach handlowych podzieliłbym na utrzymanie ciągłości sprzedaży oraz właściwie rozumianą gospodarkę mlekiem — w czym zamyka się i jego jakość i np. sprawa tzw. zwrotów.

— Właśnie — zwroty. Zbyt duża jest chyba wartość (nie tylko zresztą finansowa) jednej butelki mleka, by móc pozwolić sobie na to, żeby ją zmarnować.

— Co jednak zrobić, kiedy mając tak potężną ilość sklepów na swoim terenie — tylko niewiele z nich nadaje się do sprzedaży mleka i jego przetworów...



wszystkim kłopoty z urządzeniami chłodniczymi w sklepach. Pamiętać trzeba także i o tym, że taki system pracy stwarza nowe potrzeby w Zakładach Mleczarskich. Trzeba wydzielić odpowiednie miejsce do pakowania takich zamówień, trzeba w tym celu dać oddzielnych ludzi.

— Ze wszystkich naszych zakładów — Łódź oceniamy najwyżej. A że są czasami potknięcia? Co zrobić — nie ma przecież mechanizmów doskonałych, zawsze może się zdarzyć jakaś nieprzewidziana awaria...

— Trzeba pamiętać, jak niezwykle droga musi przejść mleko, nim trafi na stoły konsumentów. Ile po drodze istnieje możliwości opóźnienia dostawy czy obniżenia jakości mleka — lepiej nie mówić...

**KRZYSZTOF WESOŁOWSKI** — z-ca dyrektora d/s handlowych Zakładów Mleczarskich w Łodzi;

— Nie da się ukryć, że w stosunku do handlu — jako producent — jesteśmy w mniejszości. A więc ilu ludzi, ile sklepów — tyle problemów, tyle wątpliwości i ocen. Tyleż samo pretensji i tyle skarg. Przykładem może być chociażby gastronomia — po kilka razy dziennie zmieniająca swoje zamówienia. W rezultacie najczęściej okazywało się, że nie jest tak, jak oni sobie życzyli. W takich przypadkach ratujemy się decyzjami, które sytuację uzdrawiają. Więc gastronomia składa zamówienia na piśmie i nie będzie już podejrzeń z obydwu stron. Jak zamówisz — tak otrzymasz.

— Z tego samego powodu ustalamy minimalną wielkość zamawianej partii towaru. Nie będziemy przecież pchać

parę kilometrów 4,5 tonowego „Stara” z kilkoma butelkami mleka czy kilogramem sera.

— Chyba niki — tak jak my — nie rozumie klientów. Nie zabrzmi to — mam nadzieję — samochwalczo, ale robimy wszystko, by mleko i jego przetwory były w mieście w ciągłej sprzedaży. Nie musimy zdaje się nikogo przekonywać, że zależy nam na sprzedaniu swoich wyrobów. Pamiętajmy, że klient kupi tylko to, które są odpowiedniej jakości...

— Stąd trochę dziwią nas interwencje na najwyższym szczeblu, kiedy w gruncie rzeczy wystarczy do nas zadzwonić, bo nagle okazuje się, że jeden z sklepów nie otrzymał dostawy. Taka informacja, taka właśnie współpraca z naszymi odbiorcami — byłaby nam niezwykle pomocna. Moglibyśmy wtedy reagować szybciej i likwidować trudności.

— Od października szczególną opieką otoczymy stołówki i bufety studenckie. Zapewnimy studentom stałe ustaty naszych artykułów, smacznych i stosunkowo przecie tanich...

— Czy ktoś zdaje sobie sprawę z tego, że około 70-80 proc. surowca do przerobu przywozimy spoza Łodzi? Czy ktoś wie, ile kilometrów dziennie pokonują cysterny dowożące mleko? Czy w związku z powyższym aż takie dziwne wydają się przypadki, kiedy pomimo surowego przestrzegania reguli i wymogów technologicznych, pomimo ścisłej kontroli i wszechstronnych badań laboratoryjnych — juz po odbiorze jakościowym — produkt opuszczający zakłady w stanie dobrym, nagle, po kilku ledwie godzinach — traci na jakości?

— W naszych chłodniach mleko w pełni odpowiada wszystkim normom, ale już na odkrytym samochodzie, pod sklepem, czy nawet w jego

wnętrzu — ogrzewa się błyskawicznie. I co my na to możemy poradzić?

— A nasz transport wewnętrzny? Dojdzie niebawem chyba do tego, że za jedną oponę do naszego wózka widłowego płacić będziemy czystym złotem...

— Krytykowano nas, że w maju bary odczuwały brak w zaopatrzeniu. A skąd my mieliśmy wziąć konwie? Przecież nasi koledy z handlu w tym samym czasie odczuwali takie same problemy — jak to więc jest? Mamy się przestawić na produkcję blaszanych baniek? Możemy, a kto zajmie się mlekiem?...

— Tym wszystkim zaś, którzy wietrzą u nas jakieś kombinacje z wyrubami, tym „specjalistom”, którzy są stale niezadowoleni z jakości naszych produktów — polecam nasz jogurt. Kupiony rano i wstawiony do lodówki (byłe sprawnej) — jeszcze po tygodniu czasu nadawał się będzie do spożycia. Gwarantuję!

Nie chcę sugerować nikomu jakiegokolwiek stanowiska nie wypowiadając się na żaden z poruszonych w rozmowach tematów — proponowałbym zastanowić się nad jednym: czy te wszystkie problemy przy padkiem nie wynikają ze zwykłej nieznanności rzeczy. Nasi rozmówcy byli zgodni: że sobą w wielu kwestiach. Szczere chwalili to co było do chwalebia i zastanawiali się nad poprawą sytuacji tam, gdzie występowały jeszcze niedociągnięcia.

Klienci — specjaliści, patrzący na całą branżę mleczarską przez pryzmat pobliskiego sklepu i dostępnych w nim wyrobów, czasami jednak nie mają racji...

Foto: Archiwum

SŁAWOMIR DARZYCKI

# KŁADKA NAD BIAŁĄ RZEKĄ...

obserwujemy w tych przypadkach stale rosnący popyt...

**KRYSTYNA JAKUBIAK**, kierownik działu Obrót Poza-magazynowego Artykułami Żywnościowymi Biura Handlu Zarządu WSS „Społem”;

— Marzeniem klientów była by chyba taka sytuacja, w której mleka i wszystkich jego przetworów byłoby pod dostatkiem w każdym sklepie. Oczywiście wszystko najwyższej jakości. Żeby do tego doszło, surowiec, wszędzie, nie tylko w Zakładach Mleczarskich — ale i w zlewni czy u producenta — musi być najwyższej jakości. Cóż, różnie z tym bywa, ale obiektywnie trzeba powiedzieć, że ilość skarg w tej kwestii ostatnio znacznie zmalała.

— Nie popadajmy jednak w przesadny entuzjazm — w tej dziedzinie wiele jeszcze pozostało do zrobienia. Nie da się ukryć, że byłoby mniej zwrotów i mniej reklamacji w ogóle, gdyby udało się poprawić warunki, w jakich przechowywane jest mleko i galanteria w sklepach.

— Sporo nieporozumień i emocji wywołują nasze próby ograniczenia sieci sklepów serwujących wyroby mleczarskie. Rzecz nie w tym, by było ich mniej, ale żeby wszystkie one miały dobre warunki do przechowywania tych produktów. Przymierzamy się do dostaw nocnych, kompleksowych — chcemy, by tak mleko jak i śmietana czy twarog można było kupić rano, razem ze świeżym pieczywem. Stąd nasze propozycje utworzenia większej ilości sklepów branżowych. Lepiej chyba przejąć na sąsiednią ulicę i mieć pewność, że towar kupimy zawsze najwyższej jakości,

— Siedemnaście placówek wytypowanych zostało do ciągłej sprzedaży, a z tego tylko osiem ma specjalne komory chłodnicze, które umożliwiają sprzedaż dobrego mleka jeszcze w godzinach popołudniowych. Żeby wymagać — trzeba chyba najpierw rozwiązać problemy tego typu...

— Pomimo ostatnich upałów — nie mamy właściwie problemów z dostawami. Kłopot zaczyna się w momencie, kiedy nagle chcemy skorygować zamówienie. Zatelefonować? Zgoda, tylko do tego trzeba mieć telefon. Wysła się w takich przypadkach „umysłnego” z karteczką. Ile czasu się przy tym traci, ilu klientów zostanie automatycznie obsłużonych mniej — lepiej nie mówić. Tak dochodzi do konfliktów — no bo jak zareklamować na przykład partię towaru? Tu liczą się dostawne minuty...

— A do tego wszystkiego mamy jeszcze sklepy agencyjne. Cóż, najczęściej mleko w takich placówkach można kupić tylko we wczesnych godzinach rannych — i znowu jest problem. Dać więcej mleka — to z całą pewnością się zmarnuje, nie dać — skargi. Gdzie jest ten przysłowiowy „złoty środek”? Jak się zachować, żeby wszyscy byli zadowoleni?...

**KRZYSZTOF WIŚNIEWSKI** — wiceprezes d/s handlu i skupu Zarządu Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej;

— Przystawiamy się tylko i wyłącznie na dostawy nocne. Chcemy za jednym razem dostarczyć do sklepu pełne zamówienie. Nie jest to jednak takie proste: znane są chyba





## Z KONCEM LATA

Pan Damian, człek niespełna pięćdziesięcioletni, otępił przecież, z brzuskiem i wyraźną tendencją do lisyenia, wysłał w połowie lipca ukochaną połowicę na wczasy i przez dwa tygodnie oddawał się rozkoszom samotności.

Pan Damian, tak samo zresztą jak niemal każdy mąż na tym cholernym padole, nie miał z żoną łatwego życia. Wypil — awantura, spóźnił się na obiad — draka. Niechby tylko zapuścił się w buciarach do polowy korytarza, albo uronił na dywan odrobinę popiołu! Kiedyś przeglądał ukradkiem pornograficzne pismo, ta zaś go z tyłu za włosy i w pysk.

Pan Damian jednak, aczkolwiek przydużony żoninym pantoflem, krył w sobie dużo molojkiej fantazji i skoro tylko został sam, poczuł niebawym gaz do życia. Kupił w peweksie osiem butelek winiaku klubowego po sto pięć centów za sztukę, kropnął sobie z pierwszej dwie setki i ruszył w miasto z mocnym postanowieniem, żeby nie wracał do domu samotnie. Wędrowki po kawiarniach nie przyniosły jednak pożądanego rezultatu; pan Damian nie przypominał przecież amanta filmowego, nie wyglądał również na prywaciarza czy finansistę, ot, był czymś, skromnym urzędnikiem w szarym schludnym garniturku, i chociaż czyniąc awanse napotkanym kobietom usiłował posłużyć się od czasu do czasu gwarą młodzieżową, świadcząca o znajomości życia i obyczajów, były to wszakże wyrażenia z przestarzałego słownika.

Mówił na przykład: Czemuś taka smutna, lalczko? Możemy iść do Tivoli, przelecieć kielicha, wrzucić coś na ruszta, jazzowo, bigbitowo. Albo: popelina, siedzieć tak o tej porze nad ciastkiem, łapiemy, kochanie, taryfę i na dans.

Jedne wymawiały się grzecznie, inne gwałtownie, któraś klepnęła go czule w wygolony policzek rechocząc: Odpierż się wujku, masz chyba w domu lusterko?

Minęło w ten sposób kilka drogocennych dni. Pan Damian, wracając po pracy do pustego mieszkania, wlewał w siebie regularnie dwie setki a potem wyruszał na kawiarniany szlak — tu koniczek, tam piwko... przypominał trochę samochód, który, pracując na pełnych obrotach i zżerając duże ilości paliwa, wciąż stoi beczynnie w miejscu. Zniechęcony, skumał się w biurze z trzydziestoparoletnim urzędnikiem niższego szczebla, o którym krążyły plotki, że zna się na rzeczy, że potrafi...

— Wiesz pan, kochany — klepał do tamtego w zaświntuszonej, biurowym ustępie — ja finansuję całą sprawę i niech pan weźmie pod uwagę, że mam wolną chałupę, Francja — elegancja, a pan tylko musi zorganizować dziewczynki.

Józio, który dojeżdżał do pracy z Pabianic, powiedział, że owszem: kończą arbat i od razu walą do knajpy, pół metra na rozgrzewkę, obiadek i z punktu łapią jakieś dwie sensowne lólobrigidki. Nie tak życia nie piękniejszy, dobra d... i jeden głębszy.

Ruszyła zatem do boju spółka akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością, działając najpierw, bez skutku, na terenie Łodzi, a później, przez kilka dni, w Pabianicach, gdzie Józek znany był miejscowym pięknościom jak zły szlag.

Nie szło. Bankietowali za pieniądze pana Damiana, próbowali z kelnerkami, z ekspedientkami, z zabitym autostopem, skutek jednak ciągle był ten sam: słomiany wdowiec wracał do domu takową i samotny, zgorkniały dorzynał się przed snem kieliszkiem winiaku klubowego, tracąc powoli wiarę w możliwości swojego kompana, z którym spoufalili się zresztą i musieli wysłuchiwać wielu przykrych komentarzy pod swoim adresem.

Jak ty się ubierasz — mówił na przykład Józek pociągając go bez pardonu za kłapy. — Sciągnij te frajerską marynarkę i krawat, włoż jakąś sportową koszulę i przyczę się jakoś na bok, do cholery, a nie tak, psia krew do góry z czubem niby jakaś przedwojenna fajtlapa.

Kiedy pan Damian próbował protestować i odpowiadać atakiem na atak:

— Nie wiadomo, kto tu większy fajtlapa. Też wyglądasz jak trzynaste dziecko stróża, nie śmieszysz groszem, a podejście do kobiet masz akurat takie, jak chłop do krowy...

Józek kontrował:

— Bo ty wszystko psujesz. Zebyś miał przynajmniej samochód...

— Taksówka nie wystarczy?

— Taksówkę to może sobie nająć pierwszy lepszy lachmaniarz, a tu trzeba własnym wozem podjechać, potrząsnąć kluczykami. Bez tego nie osiągniesz w dzisiejszych czasach sukcesu.

Spółka zatem została rozwiązana i zniechęcony pan Damian zaprzestał dalszych prób. Popijał wprawdzie bez ustanku, ale rwać nie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# SEZONOWY

# WDOWIEC

# TAŃCZY

# WALCA

próbował. Za stary już jestem widocznie — mówił do swojego odbicia w lustrze. — Ano, lata lecą, trudno! W wolnych chwilach zadawał sobie także pytanie, jak to się stało, że jego ukochany anioł popuścił mu tak na dwa tygodnie cudłe, że najdroższa żonczka, z którą spędzał dotychczas wszelkie weekendy i urlopy, święta, wieczory i noce, zgodziła się tak, bez niczego, na solowe wczasy. Może ona?... Krew uderzyła mu do głowy. Może akurat teraz?... babus przewrotny! Ano, wezmę ją pod lupę jak wróci.

W wigilię powrotu pan Damian po pracy ogolił się powtórnie, bo mu się wydawało, iż kobiety nieczego tak nie kochają, jak wyslizganych, natartych kremem policzków. Trzepnął sobie w domu dwie setki, potem siedział do dziesiątej w kawiarni, a kiedy agent wyprosił go grzecznie, żeby zamknąć interes, nasz bohater poczuł się oszukany. Nie lubił kończyć wieczorów, lubił natomiast je przeciągać. Jeszcze gdzieś piwko, jeszcze kieliszek. Jutro przecież wróci na zawsze pod pantofel, najbliższa wódka będzie pewnie dopiero na Boże Narodzenie w towarzystwie siostry i szwagra.

Powlókł się więc do nocnego lokalu z muzy-

ką, strip-teasem i groźnym wykidają w drzwiach. Stowa w łapie i znalazł się na sali. Jazzowo, bigbeatowo. Niby nie było wolnych miejsc, a przecież siedział przy stoliku sam. Kelner, którego poprosił o setkę i pepsi colę, huknął na niego z góry, że bez zakąski i tak dalej, i że w ogóle ktoś to widział zamawiać setkę, pół litra najmniej.

Pan Damian kiwał się więc sennie nad półlitrowką Krakusa, dziabając od czasu do czasu widelcem jakąś bliżej nieokreśloną potrawę półmiesną. Aż tu nagle świat odzyskał sens. Jakaś młoda, ładna, dwudziestoparoletnia dziewczyna uśmiechała się do pana Damiana z drugiego końca sali. Przez chwilę wydawało mu się, że to jakieś urojenie, że obiektem obserwacji musi być inna osoba. Kiedy ustalił jednak ponad wszelką wątpliwość, że chodzi właśnie o niego, pomyślał, że albo ma jakąś sadzę na twarzy albo plamę na koszuli i że dziewczyna śmieje się nie tyle do niego, co z niego.

Wyszedł więc do toalety, zaświntuszonej w równej mierze co biurowa ubikacja i stając przed lustrem stwierdził ze zdumieniem, iż twarz jest czysta, koszuła ledwo co przybrudzona a krawat całkiem na miejscu. Uspokojony wrócił do stolika, wieszkając piątą babce kłozetowej, a dziewczyna znów podniosła na niego oczy.

Jest dobrze — pomyślał pan Damian. — Jest bardzo dobrze!

Skrzypek na podium, przykładowie podchmielony, przyciął z rozmachem angielskiego walca, a pan Damian, mrużąc pod nosem: ryzyk-fizyk, podszedł chwiejnie do dziewczyny.

I w chwili później świat stanął w płomieniach. Wróciła swada i elokwencja, siła, odwaga i młodość. Pijane mordercy wokoło zamieniły się w mozaikę całkiem sympatycznych twarzy. Skrzypek brzmiał tak pięknie, jakby piliował na nich sam Konstanty Kulka. W przysiadach Damian wirował z dziewczyną po całym parkiecie, lekko, jak mu się zdawało, w wdziękem, bez powłóczeń nogą i przytupów.

I dialog:

— Jest pani sama?

— Jak najbardziej.

— Nie do wiary! Taka piękna dziewczyna. Nie zechciałaby pani usiąść przy moim stoliku.

Dziewczyna westchnęła smutno i powiedziała: — Chętnie. A wie pan, dlaczego? Bo pan wygląda na prawdziwego gościa, a nie tam jakiegoś, że się tak wyrażę, pan wie, jak to jest w życiu.

— A wiem, wiem! — przytaknął skwapliwie pan Damian, wybitny znawca ludzkości. — Ale pani coś taka jakaś, że tak powiem, bez humoru.

— Nie ma się z czego cieszyć — odparła dziewczyna mrużąc z lekka zapite oczy. — Narzeczony uderzył mnie tu przed godziną w twarz i porzucił, pijany, na pastwę losu, bo mu nie pozwalałam na różne, wie pan, obraźliwe gesty w tańcu, co to publiczność zaczęła zwracać uwagę. Ja rozumiem, że można to i owo w domu, ale żeby tak na widoku, przy wszystkich...

Pan Damian kiwnął ze zrozumieniem głową i znów pomyślał: Dobrze, bardzo dobrze!

Opowieść brzmiała bowiem szczerze. Nie żaden tam okrutny ojczym, który przepędził ją z domu, nie żadna tam wyrodna matka, nie klucze, które zgubiła na ulicy, nie brak pieniędzy na powrót do mieszkania w innym mieście. Pan Damian, wybitny znawca ludzkości, czuł, że los zsyła mu na pociechę coś autentycznego. W głosie dziewczyny nie wylowił żadnych fałszywych nutek. A w jej siwych, słowiańskich oczach widział dużo melancholijnej prostoty.

Narzeczony, taka jego mać! Trzask, prask po pysku i w nogi!

Wypili bruderszaft. Buźka.

— Mariola.

— Damian.

— Ładne imię.

— Zatańczymy jeszcze?

— Z tobą zawsze.

Orkiestra grała teraz nowoczesnie i pan Damian podrygiwał w miejscu swingując jak bokser uniesionymi rękami. Jazzowo, bigbeatowo. Na dystans, uśmiechając się tylko do swojej partnerki.

Kiedy przyszło do placenia, dziewczyna wyjęła z torebki dwieście złotych, aby dołożyć się do rachunku.

Rozkleiło to do reszty naszego bohatera. Pieniędzy, rzecz jasna, nie przyjął, ale zaufanie wzrosło. Z taką, gdyby co, to można nawet bez pośrednictwa szlachetnych wyrobów „Stomilu”. Ruszyli do wyjścia, aż tu nagle ktoś łapie Damiana za ramię i uśmiechając się słodko, powiada:

— Te, frajer, telefon do ciebie, albo w ryj!

Damian pojął subtelną aluzję i wymknął się samotnie na ulicę. I jakkolwiek serce wypełniała mu ogromna gorączka, pojął przecież, iż narzeczony, a na pewno był to narzeczony, miał do Marioli nieco większe prawa, nie mówiąc już o potężnej sylwetce...

Wlókł się powoli do postoju, bo o trzeciej w nocy na tramwaj nie ma co czekać, i, ni stąd ni zowąd, usłyszał za plecami pośpieszny klekot obcasów.

Odwracając głowę, poczuł, że życie znowu nabiera sensu, a świat jest piękny.

— Uciekłam mu — powiedziała Mariola.

— Narzeczonemu?

— Tak. Chcę po prostu być z tobą, bo mam do ciebie zaufanie.

— Ale... zająknął się pan Damian, myśląc gorączkowo o wielu rzeczach naraz: o wysprzątanej na przyjazd żony mieszkanie, o niej samej, o pieniądzach i kosztownościach, które chyttrze poukrywał, będąc wytrawnym znawcą ludzkości. — Ale... możemy iść do mnie na resztę nocy, rano wprawdzie, o ósmej, muszę wyjść, lecz teraz nie widzę żadnych przeszkód, abymy napili się czegoś przed snem.

W taksówce pocałowali się czule raz i drugi, a w domu wypróżnili napoczętą butelkę winiaku klubowego. O świcie pan Damian przeciągnął się rozkosznie w małżeńskim łóżu, nie bardzo przekonany, czy wywiązał się nocą z obowiązków przygodnego kochanka. Coś mu się zdawało, że raczej nie... Film urwał się raptem po ostatnim miśkisku. Ale teraz? O! pan Damian poczuł gwałtowny przypływ namiętnych uczuć. Szepnął:

— Mariolka...

Wyciągnął rękę i trafił w próżnię. Uchlił zapłazzone powieki i nagle serce podjechało mu pod gardło.

Już nie chodzi o to, że łóżko było puste. Bardziej przerażała go otwarta szafa. Kiedy przyczółkał się do niej, podtrzymując ręką gwałtownie bijące serce, stwierdził na pierwszy rzut oka, że wraz z dziewczyną zginęło także żonine futro i kożuch oraz sporo bielizny wysokiego gatunku.

— Spokój, tylko spokój — mrużąc do siebie pan Damian, przekonany, iż lista strat na tym się zamyka.

Skoro jednak dokonał pełnego przeglądu mieszkania, rozpacz dosłownie odebrała mu siły. Poginęły jedwabne apaszkę, paski, szaliki, zniknął jak ręką odjął zestaw drogich zagranicznych kosmetyków. Wreszcie, w schowku za regalem, który pan Damian, wybitny znawca ludzkości, uważał za absolutnie pewny, nie było już ani polskich pieniędzy, ani dolarów i bonów. Krótko mówiąc — ruina.

A tu pociąg z żoną w drogę!

Co robić?

Jedni się wieszają, inni uciekają. Jeszcze inni maszerują na milicję.

Pan Damian wybrał tę ostatnią ewentualność, zapewniając funkcjonariuszy, że moralnie zachował się bez zarzutu, ot, chciał pocieszyć trochę porzuconą i pobita przez narzeczonego dziewczynę, zdrowy, humanitarny odruch uczciwego człowieka, drgnienie litościwego serca i tak dalej.

Został oczywiście wysłuchany, może nawet nie bez pewnego współczucia. Skradzione przedmioty trafiły do protokołu, dziewczynę rozszefrowano, przeszesano wszelkie możliwe meliny w poszukiwaniu dobrze znanej prostytutki-złodziejki.

Niewykluczone, że to i owo trafi na powrót do szafy pani Damianowej, niewykluczone, że nie trafi. Jak się potoczą dalsze losy małżonków, tego już nikt przewidzieć nie zdoła. Mariolka poniesie zapewne sprawiedliwą karę. Najbardziej trzeba współczuć milicjantom, którym naiwni, sezonowi wdowcy dostarczają raz po raz dodatkowych zajęć.

Można pilnować porządku na meczu piłkarskim, można patrolować parkingi i ulice, trudno jednak stać na posterunku w proggu miłosnej alkowy.

## NIE TYLKO W ŻARTACH

### MARIAN MISZALSKI EFEKT SPRAWOZDAWCZY

Przygotowałem dyrektora sprawozdanie półroczne. Napisałem:

„Zakładowi naszemu nie udało się wykonać zadań półrocznych. Po pierwsze — wyniknęło to z opóźnionych dostaw surowców potrzebnych do produkcji, po drugie — ze zbyt małej operatywności naszych służb zaopatrzeniowych, które — wskutek niedostatecznie rozwiniętej placówki badania rynku — nie zabezpieczyły odpowiednich artykułów zastępczych. Pod adresem naszej Jednostki Nadrzędnej pragniemy przy tej okazji sformułować wniosek, iż dotychczasowy system limitowania kwartalnego w środki płatnicze na zakup surowców substytutowych nie zdaje egzaminu. Winne być one przyznawane co najmniej na okres półroczny lub roczny. Dalszym subiektywnym czynnikiem, który zaważył na niewykonaniu planu było zbyt wolne wdrażanie wniosków racjonalizatorskich w naszym przedsiębiorstwie. I tak okazało się na przykład, że wniosek inżyniera Ruchaly, dotyczący użycia mutatinu z odpadów syntetycznych przeleżał w komórce racjonalizacji naszego przedsiębiorstwa trzy lata, podczas gdy właśnie brak mutatinu zaważył decydująco na niewykonaniu zadań jakościowych!

Nazajutrz, po złożeniu tego sprawozdania, dyrektor wezwał mnie do siebie.

— Bardzo dobrze, Jobczyk, bardzo świetnie. Krótko rzeczowo, w sam raz. Tak właśnie trzeba, bez lania wody, samokrytycznie, z wnioskiem ogólniejszym. Tak, właśnie tak. Krótko, węzłowo. Tylko, widzicie... — tu zaszepił — tylko że oni, tam w Jednostce Nadrzędnej, jak dostaną takie sprawozdanie to wście, rozumiecie... Najpierw obrażą się, że tak krótko... Wście, inni wyrępią sprawozdania sążniste, na kilkanaście arkuszy a my co? Błado wypadniemy, kolego Jobczyk, bardzo błado. Trzeba rozszerzyć. Po wtóre — no tak, nie jesteśmy bez winy. Ale czy myślicie, że inni są też bez winy? A, widzicie. A z pewnością nie będą tacy głupi, to jest chciałem powiedzieć — tak rzeczowo... Wście, Jobczyk, rozumiecie: to trzeba stonować. A o tej racjonalizacji — bardzo trafnie sformułowałście. Bardzo trafnie — aż cmoknął z zachwytem. — Tylko, że to samo można powiedzieć inaczej. Pewnie, że nie wykorzystaliśmy jak trzeba pomysłu inżyniera Ruchaly. Tak, służby te trzeba będzie zganąć. Ale mamy ten pomysł, dysponujemy nim, i to trzeba właśnie sprzedać, rozumiecie Jobczyk?

Trzeba być dyplomata, no, ale daruję wam, jesteście jeszcze młodzi. No i ten wniosek ogólny, pod ich adresem — to trzeba by, wiecie, tak jakoś, rozumiecie, że to niby wychodzi nie od nas, a od nich. Tak jakoś zręcznie. No, zresztą, Jobczyk, co wam będzie tłumaczyć, świetnie to zrobiliście, to i ta poprawiona wersja pojdzie wam zgrabnie. Liczę na was...

Następnego dnia przyniosłem wersję poprawioną:

„Zakładowi naszemu nie udało się wykonać zadań półrocznych. Po pierwsze wyniknęło to z opóźnionych dostaw surowców oraz z kłopotów naszej służby zaopatrzeniowej, która borykała się ze zgromadzeniem na czas odpowiedniej ilości surowców zastępczych. Jednocześnie informujemy, że w przedsiębiorstwie naszym opracowano technologię odzyskiwania mutatinu z odpadów syntetycznych. Jednocześnie zgadzamy się z sugestiami Jednostki Nadrzędnej, że limitowanie środków płatniczych na zakup surowców zastępczych dokonywane winno być w okresie półrocznym. Pozostałe wskaźniki zakład nasz zrealizował w wielkościach planowanych”.

I to jednak nie zadowalało Starogo:

— Mówiłem wam, Jobczyk,

mówiłem — nie tak krótko... Co sobie o nas pomyślą... Z tą technologią — bardzo dobrze, z tym wnioskiem — świetnie. Tylko, wiecie, to pierwsze zdanie: „Zakładowi naszemu nie udało się...”. To za sucho. Co to znaczy — nie udało się? Czy my nie chcieliśmy? To nie, że mieliśmy dużą absencję ze części załogi odeszła... Ale robiliśmy, co mogliśmy, prawda, kolego Jobczyk? No więc... Podkreście to jakoś mocno, jednoznacznie.

Uczyłem się szybko. Trzecia wersja była dłuższa i w pełni zadowoliła Starogo. Brzmiała tak:

„Mimo pełnego wysiłku i mobilizacji całej załogi zakład nasz nie w pełni wykonał planowane zadania półroczne, na co złożyła się niezwykle trudna sytuacja surowcowa w ww. okresie. Na niewykonaniu zadań zaważyły głównie spóźnione i nierytmiczne dostawy surowców, przy jednoczesnych brakach artykułów substytutowych. Nadmieniamy, że dzięki podjętej ostatnio w naszym zakładzie inicjatywie udało się nam opracować technologię odzyskiwania mutatinu z odpadów syntetycznych, którą udostępniliśmy innemu przedsiębiorstwu, a dzięki której spodziewamy się osiągnąć już w roku przyszłym efekty rzędu 20 milionów złotych de-

wizowych. Jednocześnie wyrażam w tym miejscu pełne poparcie dla inicjatywy Jednostki Nadrzędnej, dotyczącej zmian w limitowaniu czasowych zakupów substytutów. W wyniku racjonalnej polityki kadrowej udało się nam zmniejszyć zatrudnienie — tu zacytowałem dane i liczby, tabelę procentową. Następnym rozwinięciem watek socjalny, porównawczy — z latami poprzednimi — kończąc zapewnieniem o nadrobieniu zaległości w najbliższym kwartale.

— Tak, tak właśnie. Widzicie: powiedzieliśmy to samo, co chcieliśmy powiedzieć najpierw, ale jak lekko to się teraz czyta... Co znaczy forma... Tak, Witkacy miał dużo racji. Czytaliście coś Witkacego, Jobczyk?

— Owszem — odparłem — „Niemyte dusze”...

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Wracając do siebie zastanawiałem się, czy rzeczywiście obawy Starogo plynęły ze strachów, jakie gnieździły się w Jednostce Nadrzędnej, czy też przyrostkiem nie mieszkali w nim samym... I pomyślałem także, kim był ten facet, który napisał za mnie trzecią wersję sprawozdania...

Tak czy owak osiągnąłem efekt sprawozdawczy, a tylko efekty się liczą...



Wśród mnóstwa globalnych problemów współczesności na jedno z pierwszych miejsc wysunął się ostatnio problem zaludnienia Ziemi. Dziś przyciąga on uwagę nie tylko specjalistów, lecz także szerokich kręgów społeczeństwa oraz uwagę działaczy politycznych i społecznych. Charakterystyczną cechą lat 70 naszego stulecia było bezprecedensowe tempo wzrostu zaludnienia naszej planety: na przestrzeni ostatnich 25 lat liczba mieszkańców Ziemi powiększyła się o 2 i pół miliarda do blisko 4 miliardów. Łącznie z tym średnie tempo tego wzrostu zwiększyło się do 2 proc. Dodajmy gwoździem do wielu rozwijających się krajach tempo to jest o wiele wyższe.

Ze sprawozdania generalnego sekretarza ONZ „O kontroli tendencji w dziedzinie zaludnienia” wynika jednak, że w ostatnim czasie pojawia się coraz więcej oznak, iż tempo wzrostu osiągnęło już swój punkt kulminacyjny i najprawdopodobniej zacznie spadać. Według prognoz ONZ, w latach 80-tych naszego stulecia, aż do końca XX wieku, osiągnie

W latach 1973-74 połowa z owych 30 krajów miała już wskaźniki reprodukcji nie zapewniające przyrostu ludności.

Generalną tendencją procesów reprodukcyjnych we wszystkich krajach świata jest proces przechodzenia od wielodzietnej rodziny (do trojga dzieci) do małodziejnej, od rodziny w której nie ogranicza się procesu reprodukcyjnego, do pary małżeńskiej która świadomie orientuje się na niewielką ilość potomstwa. Rzecz oczywista nie w tym, że ludzie przestali kochać dzieci, lecz w bardziej złożonych czynnikach społeczno-ekonomicznych, a głównie w zmianie roli, jaką się wyznacza dzieciom w systemie wartości rodziny, w zmianie sytuacji kobiet w społeczeństwie i kształtowaniu na tej podstawie nowych stereotypów wzorca demograficznego.

Jak informuje paryski tygodnik „Selection du Readers Digest”, kiedy 10 lat temu jeden z największych francuskich wydawców magazynów młodzieżowych, Robert Bagué, postanowił wydawać miesięcznik dla reńców, wywołało to wybuch śmiechu wśród jego znajomych i przyjaciół. Dziś nikt już nie wysmiewa pomysłu Roberta Bagué. Nakład jego wydawnictwa dla ludzi starszych wzrósł z 60 tysięcy do 650 tys. egzemplarzy. Magazyn cieszy się popytem nie tylko wśród stałych czytelników periodyków, lecz także wśród przedsiębiorców, którzy chętnie zamieszczają w nim ogłoszenia i informacje handlowe. Wyjaśnienie tego fenomenu jest całkiem proste: wydawca przewidział odbywające się obecnie starzenie społeczeństw Zachodniej Europy. Dziś, we Włoszech na przykład ludzie w wieku 65 lat stanowią

Jak oświadczyli dobrze poinformowane osobistości oficjalne, rząd J. Cartera zaproponował przywódcom krajów sojuszników plan zwiększenia w Zachodniej Europie ilości rakiet uzbrojonych w głowice jądrowe, zdolnych do osiągnięcia terytorium radzieckiego. Propozycja ta przewiduje rozmieszczenie w środkowej Europie, w początku lat 80-tych, od 200 do 400 rakiet

## Z PRASY

średniego zasięgu. Nowe siły rakietowe, jak wskazywały wspomniane osobistości rządowe, będą się składać z rakiet skrzydlatych instalowanych na ziemi oraz rakiet balistycznych typu „Pershing”, podobnych do tych, jakie obecnie znajdują się w Europie, ale o zwiększonym zasięgu. Rakiety te, których zasięg przewyższa 1600 km, zapewniają Stanom Zjednoczonym możliwość zadania ciosu jądrowego celem w Związku Radzieckim z terytorium europejskiego.

Od początku tego roku osobistości urzędowe USA, bez zbędnego rozgłosu, zachęcały rządy krajów sojuszników do przyjęcia jakiejś formuły zwiększenia ilości nowych rakiet. Podczas tych rozmów rząd Cartera, jak oświadczyły osobistości dobrze poinformowane, podjął decyzję mającą na celu uniknięcie jakiegokolwiek konfliktu w ramach NATO z powodu polityki w dziedzinie zbrojeń jądrowych. Niemniej osobistości oficjalne oświadczyły, iż rządy państw sojuszników nie opracowały wyraźnej linii postępowania w odpowiedzi na

propozycje amerykańskie. Tymczasem, podczas gdy przywódcy wojskowi USA popierają ten plan, przywódcy polityczni krajów sojuszników są zaniepokojeni faktem, że idea o zezwoleniu Stanom Zjednoczonym wycofania swoich rakiet na terytorium zachodniej Europy, wzbudziła wewnętrzną opozycję w ich państwach.

Rząd USA proponuje, żeby te rakiety bazowały przede wszystkim w Zachodnich Niemczech, Belgii i Holandii. Dotąd jednak ani Belgia, ani Holandia nie zgadzały się na rozmieszczenie nowych amerykańskich rakiet na swoich terytoriach i amerykańskie osobistości oficjalne uważają, że jeśli te państwa nie uczynią tego i tym razem, to Zachodnie Niemcy także chyba nie poprą tego planu.

Żeby uczynić swoje propozycje możliwymi do przyjęcia z politycznego punktu widzenia, rząd USA, jak informują, pracuje w ścisłym kontakcie z holenderskimi i belgijskimi wojskowymi strategami nad planem przewidującym stopniowe wycofywanie ze stanu uzbrojenia armii tych krajów przestarzałych amerykańskich rakiet o mniejszym zasięgu i zastąpienie ich rakietami „Pershing” o powiększonym zasięgu oraz rakietami skrzydlatymi.

Jak informują osobistości oficjalne, w najbliższej przyszłości trzeba będzie także rozstrzygnąć problem finansowania nowych sił rakietowych. Na opracowanie i rozwój kilkuset nowych rakiet wydatkuje się około 5 miliardów dolarów i jak wskazywały osobistości oficjalne, rządy małych krajów sojuszników najprawdopodobniej nie będą mogły pójść na znaczniejsze wkłady pieniężne.

„NEW YORK TIMES” — NEW YORK

## NOWA ERA DEMOGRAFICZNA?

nie ono 1,5 proc. Będzie to przede wszystkim konsekwencją spadku liczby urodzin w krajach rozwijających się, bowiem 90 proc. oczekiwanego przyrostu ludności świata przypada na te kraje. Jest to zjawisko, którego potencjalnych następstw na rozwój tych krajów nie można pomijać. Dane liczbowe otrzymano w wyniku podjętego w 1978 roku przeglądu ocen demograficznych i prognoz, dokonanego przez ONZ. Wyniki tej pracy, choć jeszcze na razie wstępne, wskazują jednak, iż ogólna liczba mieszkańców Ziemi w 2000 roku wyniesie około 6 miliardów 200 milionów ludzi. We wszystkich rejonach świata prócz Afryki liczba urodzin zmalała.

Zjawiska te stawiają przed światem mnóstwo nowych problemów. Jeden z nich, bynajmniej nie ostatni, polega na trwającej wciąż migracji z rejonów wiejskich do rejonów miejskich i wynikającym z niej problemami urbanizacji w większych krajach świata. W rozwiniętych krajach około 60 procent przyrostu ludności miejskiej jest konsekwencją migracji i przemieszczenia ludności z przeludnionych stref wiejskich do miast, a tylko 40 procent skutkiem przyrostu naturalnego. Większość rozwiniętych krajów bada obecnie niespotykany wcześniej spadek urodzin, który wzbudza zaniepokojenie rządów w związku z reprodukcją ludności, zagadnieniami rezerwy pracy i struktury wieku. Międzynarodowa migracja, która z reguły odbywa się z południa na północ, jest powiązana z socjalnymi, ekonomicznymi i politycznymi problemami siły roboczej zarówno w krajach odpływu, jak i w krajach przyływu. Obok tego, zresztą nie tylko z tytułu swego charakteru jako zmiennej wielkości demograficznej, migracja ma wywierać wpływ na stosunki ekonomiczne i socjalne całych rejonów. Obecnie ogólny charakter strumieni migracyjnych polega na przesunięciach z bardziej biednych krajów do bardziej bogatych; wyznacza on kierunek ruchu robotników poszukujących pracy oraz ich rodzin. Ogólnie rzecz biorąc, zaobserwowano spadek szybkości tego ruchu zarówno wewnątrz Europy, jak i między Europą a pozostałym światem. Mniej więcej w 1974 roku migracja siły roboczej do północnej i zachodniej Europy z południowej Europy, Turcji i północnej Afryki prawie ustała. Jednakże w 1975 roku w krajach zachodnich objętych tą migracją przebywało jeszcze około 14 milionów cudzoziemców.

Wybijającym się dziś problemem jest również starzenie się społeczeństw w rozwiniętych krajach świata. Współczynnik liczby urodzeń (tj. liczba urodzeń na 1000 mieszkańców) obniżył się do poziomu bardzo bliskiego prostej reprodukcji, a w wielu krajach rozwiniętych spadł nawet poniżej tego poziomu. Spośród 30 wielkich rozwiniętych krajów świata tylko w 5 nie obserwuje się spadku ogólnego współczynnika reprodukcji w okresie między średnim lat 60-tych a średnim lat 70-tych naszego stulecia, podczas gdy w 17 krajach z tej grupy współczynnik urodzin spadł o 20 — 40 procent. W tym samym czasie tylko w 3 krajach dane wskaźników podwyższyły się, ale wzrost ten nie był długotrwały.

13 proc. ludności, wobec 8 procent w 1951 roku. W RFN co szósty mieszkaniec kraju liczy ponad 65 lat. W 1985 roku 1,5 proc. Szwedów osiągnie sędziwy wiek 85—95 lat. Jeśli wziąć pod uwagę, iż od 1965 roku obserwuje się wzrost średniej życia ludzkiego i jednocześnie zmniejszenie się reprodukcji, to istnieją wszelkie podstawy, żeby przypuszczać, że do roku 2000 ludzi w wieku średnim i starszych będzie więcej niż młodych. Zahamowanie burzliwego wzrostu demograficznego, tak charakterystycznego dla okresu powojennego, nie było niespodzianką dla specjalistów, niemniej obecna sytuacja na Zachodzie wzbudza wśród nich duży niepokój. Jeden z najbardziej znanych specjalistów w dziedzinie demografii, Francuz, Bourgeois-Pichea, uważa, iż w przyszłości tempo zmniejszania się liczby ludności w Zachodniej Europie nabierze dużych obrotów i po 2000 roku jej liczba zacznie łopnieć w oczach. Szwedzi uczeni, demograf, uprzedza: „Jeśli poziom wskaźnika urodzeń nie wzrośnie, liczba ludności Szwecji będzie się zmniejszać o 25 proc. z każdym nowym pokoleniem. Po upływie stu lat pod znakiem zapytania stanie sama egzystencja naszego kraju”.

Powaga sytuacji zmusiła rządy krajów zachodnioeuropejskich do powołania specjalnych grup demografów, które próbują pomagać rządów w podejmowaniu decyzji zmieniających do znalezienia wyjścia z zaistniałej sytuacji. Demografowie przyznają jednak, że nie mogą przedstawić dokładnego wyjaśnienia przyczyn wzrostu czy też spadku liczby urodzeń. Karl Schwartz, szef Federalnego Urzędu Statystycznego RFN twierdzi, że aby spowodować nowy wzrost liczby urodzeń w Republice Federalnej, 70 proc. kobiet w RFN w wieku rozrodczym powinno mieć średnio 2—3 dzieci, a 10 proc. — czworo dzieci i więcej. Nie uważa on jednak, żeby to było możliwe nawet w tak zamożnym kraju jak RFN. Na odbytej niedawno w Lille konferencji poświęconej problemom demografii jeden z jej uczestników powiedział: „Ludzkość wkroczyła w nową erę demograficzną, której cecha charakterystyczna polega na tym, że obecnie kontrolę nad poziomem urodzeń sprawują same pary małżeńskie”.

Niektórzy uczeni, biorący udział w tej konferencji, przedłożyli wyjaśnienia godne uwagi, ponieważ wychodzą one poza ramy zwykłej analizy liczb, do której nieraz ogranicza się demografia. Uważają oni, ujmując rzecz jak najbardziej lapidarnie, iż jednoczesny spadek przyrostu ludności we wszystkich rozwiniętych krajach Zachodu nasuwa myśl wzajemnego związku między warunkami ekonomicznymi i liczbą urodzeń. Oparcie się na danych otrzymanych przez uczonych amerykańskich, którzy przestudowali ekonomiczny aspekt problemu, francuscy eksperci udowodnili istnienie współzależności między dochodem rodziny i posiadaniem pracy z jednej strony i liczbą urodzeń — z drugiej, podkreślając tym samym głębokie powiązanie elementów socjalnych i demograficznych.

JERZY CZECH

Moskiewski festiwal jest nie tylko okazją do obejrzenia nowych, premierowych filmów z około stu krajów, lecz także okazją do dokonania zakupu licznych oferowanych tu pozycji fabularnych i krótkometrażowych. Przedstawicielem filmu polskiego każdego dnia przebywają na „Giełdzie filmowej”, gdzie prezentowane są filmy i prowadzone rozmowy handlowe. Jak oświadczył wiceminister Kultury i Sztuki Antoni Juniewicz, zamierzamy dokonać zakupu niektórych filmów prezentowanych na obecnym festiwalu, w tym również z krajów, których kinematografie nie były dotychczas reprezentowane na polskich ekranach.

Krzysztof Zanussi indagowany przez dziennikarzy co sądzi o problemach współczesnego kina, oświadczył m. in.: — Wydaje mi się, że kinematografia światowa nie dostarcza już „codziennej strawy” tzw. masowemu widzowi, a funkcje te przejmują telewizja. Współczesny film przeznaczony dla kina staje się coraz bardziej problemowy, a zarazem zróżnicowany, tak aby widz mógł wybierać te pozycje, które najbardziej go interesują. Reżyser musi dziś szukać własnej drogi, zwracając uwagę na wzbogacenie środków wypowiedzi filmowej.

Nie tylko polskie filmy przykuwają uwagę uczestników festiwalu. Duże zainteresowanie budzi polski plakat filmowy. „Film Polski” zadbał o reklamę Pasaż w wielkim hallu hotelu „Rossija”, sale projekcyjne i inne pomieszczenia tłumnie odwiedzane wypełniły plansze informujące o filmach prezentowanych na festiwalu. Wysokie uznanie wzbudziły plakaty „Amatora” (autor A. Pagowski) i „Panien z Wilka” (Renata Pajchel).

Międzynarodowe jury oceniające filmy fabularne składa się z 15 osób. Przewodniczy mu reżyser radziecki Stanisław Rostocki. W składzie jury zasiada Jerzy Kawalerowicz. Jury oceniającemu filmy w konkursie utworów dla dzieci przewodniczą autor licznych książek dla najmłodszych czytelników — Anatolij Aleksin. Równoległe działa tu drugi zespół jurorów, składający się z dzieci i młodzieży.

Kinematografia włoska — o której mówiło się ostatnio, że przeżywa regres — doskonale zaprezentowała się na moskiewskim festiwalu. W programie konkursowym przedstawiała interesujący film „Chrystus zatrzymał się w Eboli” oparty na autobiograficznej powieści znanego pisarza Carla Leviego w reżyserii Francesco Rosiego z Gian-Maria Volontem, Ireną Papis i Leą Massari w rolach głównych. W sekcji informacyjnej Włoch pokazują filmy m. in. Federica Felliniego.

## MOWIA UCZESTNICZY FESTIWALU

GRIGORIJ ALEKSANDROW: Zrealizowanie filmu „Niech żyje Meksyk” jest wydarzeniem bez precedensu w kinematografii światowej. Jest to chyba pierwszy przypadek w historii kina, gdy praca nad filmem zajęła pięćdziesiąt lat. Tak długo bowiem trwały nasze rozmowy z amerykańskim Muzeum Sztuki Współczesnej w sprawie przekazania materiałów zrealizowanych przez Eisensteina.

Pobyt w Meksyku był dla mnie szkołą życia. Pracowałem z Eisensteinem przez trzydzieści lat i do-

piero po powrocie z Meksyku zdecydowałem wypełnić główne przykazanie mego mistrza i pójść własną drogą twórczą. Rozpocząłem realizację serii komedii muzycznych.

To był zresztą nakaz czasu. Szły lata trzydzieste, lepiej się żyło, podniósł się poziom ekonomiczny kraju. Nowe czasy stawały przed sztuką nowe zadania. Optymizm w życiu społecznym wymagał optymistycznej, radosnej sztuki.

Pracowałem w filmie prawie 60 lat, nie mogę więc nie odczuwać dumy z jego najlepszych osiągnięć. Głównym celem moich filmów nie była wyłącznie chęć bawienia. Śmiech był tylko pomocą do rozmowy o sprawach poważnych — na przykład o ruchu stachanowskim. Komedie były siłą współtwórczą, stąd brało się jej powodzenie.

Do filmu trzeba zawsze podchodzić krytycznie. Chciałbym, aby kryteria-

że w filmie powstającym na podstawie materiałów dokumentalnych należy wykorzystywać nieprofesjonalistów dla większego prawdopodobieństwa przedstawianych wydarzeń.

Festiwal moskiewski to dla mnie niezwykle interesujące i wzruszające dni. Tym bardziej że obecny festiwal zbiegł się ze wspaniałym świętem 60-lecia radzieckiego kina, najbardziej postępowej i najwybitniejszej kinematografii, która potrafiła wpłynąć na kształt sztuki filmowej dzisiejszego świata.

Poeta radziecki JEWGENIJ JEW-TUSZENKO wystąpił ostatnio w całkowicie nowej dla siebie roli — aktora filmowego. W nakręconym przez reżysera Sawwę Kulisa filmie „Wzlot”, będącym biograficzną opowieścią o Konstantynie Ciolkowskim, gra postać głównego bohatera. A oto refleksje na temat bohatera filmu, którymi dzieli się J. Jewtuszenko z czytelnikami „Sowieckiej Kultury”:

Młody Ciolkowski znał dobrze rosyjskiego filozofa N. Fiodorowa, który uważał, że ludzkość, trapiąca ciągłymi wojnami, może uświadomić

## XI MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY W MOSKWIE

mi oceny naszych filmów była zawsze wysoka ideaowość. Zilustrowałbym to na przykładzie własnych doświadczeń. Film „Cyryl” jest komedią, ale przy jego realizacji mieliśmy wyższe cele, poruszyliśmy takie sprawy, jak równość praw dla wszystkich ludzi bez względu na ich narodowość czy kolor skóry. Odtwarzający życie na ekranie artysta musi pamiętać o swej roli i zawsze zajmować zdecydowaną postawę ideową.

GIUSEPPE DE SANTIS: Jestem miłośnikiem radzieckiego filmu. Po raz pierwszy byłem w ZSRR 29 lat temu i pokochałem wasz kraj całym sercem. Z radością kręciłem na Ukrainie film „Oni szli na Wschód”, z radością stwierdzam jak z roku na rok zmienia się i pięknie Moskwa. W jury festiwalowym zasiadam po raz pierwszy. Owszem, byłem wielokrotnie zapraszany, ale zawsze wydał mi się, że jest to zajęcie nie dla mnie. Organizatorem moskiewskiego festiwalu nie mogłem jednak odmówić.

Musiabym długo mówić o przyczynach braku moich nowych filmów. Najważniejszą z nich są moje przekonania polityczne. Filmy, które chciałem realizować stawiały ostro problemy społeczne i dlatego nie podobały się producentom. Ostatni mój film „Sąd specjalisty o nieuchronnej przyszłości” nakręciłem w 1973 r. Zdjęcia do nowego filmu „Sprawa Andrei” rozpoczął w zimie przyszłego roku. Tak się przynajmniej spodziewam. Andrea to małe miasteczko na południu Włoch. Scenariusz oparty na autentycznych wydarzeniach już jest gotowy. Opowiada o tragicznie zakończonym powstaniu chłopów w 1947 r. Chciałbym go zrealizować bez udziału profesjonalnych aktorów. I tu może wyniknąć dodatkowa trudność podyktowana zwyczajami komercyjnego filmu nastawionego na „gwiazdy”. A przecież wiadomo, i to nie tylko mnie,

sobie są jedną wówczas, gdy zespoli się we wspólnym działaniu. Nic zaś tak nie jednoczy ludzi, jak świadomość wspólnego wroga. Takiego wroga mają wszyscy ludzie niezależnie od narodowości i wyznawanej religii. Jest nim śmierć.

Fiodorow marzył o czasach, kiedy nie tylko ludzie żyjący będą nieśmiertelni, ale kiedy nauka będzie w stanie wskrzesić naszych przodków... Ciolkowski był natomiast realista, jego myśli koncentrowały się wokół problemu gdzie człowiek będzie żył w przyszłości. Zasoby i przestrzeń życia Ziemi są przecież ograniczone. I wówczas — pisze Jewtuszenko — Ciolkowski spojrział w stronę gwiazd, w kierunku nieskończonego wszechświata. Zasada działania rakiet była znana na długo przed nim. Jednak on pierwszy zespolił dwa pojęcia: rakietę i Kosmos. I rozpoczął pracę dla jutra i w imię jutra. I choć nigdy nie latał, nawet samolotem, przewidział jednak psychologiczne zmiany w stosunku ludzi do Ziemi, jakie zajdą, gdy ludzie spojrzą na swoją planetę z Kosmosu.

Kosmiczna filozofia Ciolkowskiego — pisze Jewtuszenko — będzie stawała się w miarę postępującego podboju Kosmosu własnością wszystkich ludzi, tak więc jej znaczenie będzie w przyszłości coraz większe. Film jest gotowy — pisze J. Jewtuszenko — i nie do mnie należy jego ocena. Oczywiście dla nas wszystkich którzy nad nim pracowaliśmy, największym zaszczytem jest możliwość przedstawienia go publiczności na moskiewskim Międzynarodowym Festiwalu Filmowym.







Polski film przyrodniczy rozwijał się według sobie tylko znanych reguł. Zdobywał nagrody międzynarodowe, ale w kraju nie doczekał się jeszcze należnego jego randze uznania. Może planowane nagrody im. Puchalskiego i Marcza stają się teraz, po trzydziestu latach, spełnieniem tego oczekiwania?

Publiczność jest wierna filmowi przyrodniczemu, tłumnie przychodzi na specjalne pokazy, domagała się i domaga udziału filmu przyrodniczego w programie telewizyjnym. Także kontrahenci zagraniczni największe zainteresowanie wyrażają filmami dla dzieci i właśnie filmami przyrodniczymi. Jak do tej pory nie umiemy z tego wyciągnąć zbyt wielu budujących wniosków.

1.

Losy polskiego filmu przyrodniczego są związane z Wytwórniami Filmów Oświatowych w Łodzi, a wcześniej z Instytutem Filmowym w Obydwu wypadkach była to działalność związana z wybitnymi postaciami, twórcami filmu przyrodniczego — Karolem Marcza i Włodzimierzem Puchalskim. Obydwaj mają za sobą doświadczenia filmowe z okresu międzywojennego. Karol Marczak wraz z żoną posiadali nawet małą wytwórnię nazwaną „Pracownia doświadczalna Karol i Marta Marczakowie”; Puchalski doskonalił swój warsztat fotografika (był już przed wojną znany jako znakomity autor zdjęć przyrody), a także zrealizował kilka krótkich filmów na taśmie 16 mm.

Marczak zawsze był traktowany jako twórca filmów biologicznych. Puchalski natomiast jako autor filmów przyrodniczych. Chociaż zakres tych pojęć jest bardzo nieostry, to tradycja i zapisały uczyniły z nich charakterystyczne określenia dla obu „szkół” filmowego tworzenia.

2.

Marczak patrzył na świat Przyrody „z bliskiej odległości” czasami z odległości standardowej optyki kamery, czasami w sytuacji zdjęć „makro” aż wreszcie z odległości soczewki mikroskopu sprzężonego z kamerą. Bohaterowie jego filmów nie są dużej wielkości, zazwyczaj pozwalają się przebiec i dostosować do warunków pracowni filmowej (choć nie do dostosowania wymaga działalności znakomitych specjalistów). Marczak próbuje wejść do „środka” zjawiska, wyjątkowo i pokazać jego istotę, korzystając z mikroskopu rejestruje na taśmie nawet wnętrza pojedynczej komórki.

Puchalski ogląda przyrodę nieco inaczej, podgląda ją tam, gdzie strzeże swych tajemnic. Poznawał ją praktycznie, bezpośrednio, znał reakcje zwierząt, a szczególnie ptaków, wiedział jak się ukryć, aby nie zaważyły jego obecności. Zbliżał się do natury cierpliwością i teleobiektywem, zmniejszał odległości, które były zbyt duże, aby zarejestrować szczegóły, ale nie upiększał, nie zmieniał kształtu obrazu, nie stosował wymyślnych technik, które mimo woli fałszowałyby autentyczny obraz przyrody. Miesiące spędzał na bagnach i moczarach, w maleńkich trzcinowych chatkach, lub drewnianych ambonach umocowanych wśród korony drzew.

Dla Marcza przyroda jest tworzywem, z którego powstaje mała interesująca film. Przy pomocy kamery wzbogacanej o unikalne, stworzone przez niego samego urządzenia, próbuje pokazać to, czego pozornie nie da się pokazać. Marczak poznawał przyrodę według własnej metody, nie zawsze zgadzał się z dydaktyczną koncepcją naukowców. Nierzadko też dochodziło do rozbieżności zdań między filmowcem a konsultantem.

3.

Już w 1945 r. zaczyna działać baza Instytutu Filmowego w Żyrardowie, gdzie Karol i Marta Marczakowie przygotowują pierwsze filmy biologiczne. W tym samym czasie powstaje w Łodzi, dzięki donaciu rektora prof. Kotarbińskiego i dziekana prof. Bagińskiego oraz prof. Pawłowskiego — Pracownia Filmu Naukowego przy Uniwersytecie Łódzkim, spełniająca także funkcję ośrodka konsultacyjnego dla bazy w Żyrardowie.

Krótkotrwałym tworem organizacyjnym była Pracownia Filmu Biologicznego zorganizowana przez Instytut Filmowy przy ul. Żeromskiego w Łodzi. Pod kierunkiem dra Henryka Sandnera pracowali w niej Konrad Siwecki, Eugeniusz Haneman, Janusz Gościński i Janusz Piwoński. Żywot tej placówki był krótki, a żaden z realizowanych tam filmów nie dostał się do sieci rozpowszechniania.

Rok 1946 przynosi dwa pierwsze filmy firmowane przez Martę i Karola Marczaków — „Pod wodną karpą” i „Kauzyczna”. W 1947 roku na 9 filmów Instytutu aż 3 pochodzą z Żyrardowa („Wrotki mcholubne”, „Motyle”, „Mięczaki”). W tym też roku powstaje w bazie krakowskiej Instytutu pierwszy film Włodzimierza Puchalskiego „Ptasia wyspa”.

Lata 1948—49 to okres załamania się działalności Instytutu Filmowego. Produkcja trwa nadal, wiele tematów jest w trakcie realizacji, ale jedynie

Puchalski (działający ciągle w Krakowie) oddaje swoje kolejne filmy — „Wyklucie się piskląt” (1948) i „Flora Tatr” (1949). Sytuacja doprowadza do zmian personalnych i organizacyjnych i w grudniu 1949 roku minister kultury i sztuki powołuje Wytwórnę Filmów Oświatowych przejmującą produkcję Działu Filmów Oświatowych Instytutu Filmowego.

Nowe kierownictwo bardzo sprężyście przystępuje do porządkowania zaległości i już w roku 1950 zostaje ukończonych aż 31 tytułów. Jest to zarazem najobfitszy rok w twórczości Karola Marcza i jego żony. Aż 14 filmów firmowanych przez nich zostaje skierowanych do rozpowszechniania: dydaktyczne — „Kwiat”, „Pęd”, „Życie sosny”, „Krańczenie azotu w przyrodzie” oraz popularno-naukowe: „Grąjkowie rasznych pól i lasów”, „Grabarze”, „Grzyby”, „Pantofelek”.

4.

Okres 1947—1950 przyniósł pierwsze sukcesy festiwalowe. O palmę pierwszeństwa (głównie w ilości i jakości nagród) konkuruje Karol Marczak i Włodzimierz Puchalski.

Film Włodzimierza Puchalskiego „Ptasia wyspa” zdobywa I nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Edynburgu w roku 1947. Tuż po tym sukcesie „Wrotki mcholubne” Karola Marcza uzyskuje

revelacją, zdobywając uznanie na licznych festiwalach i kongresach, a jego głównym atutem były unikalne, jedne z pierwszych na świecie, filmowe zdjęcia pełnego procesu podziału komórki.

5.

Na początku lat pięćdziesiątych do wytwórni przychodzi pierwszy absolwent Szkoły Filmowej. Są wśród nich i tacy, którzy zainteresowali się filmem przyrodniczym. Początkowo wszyscy zostają przydzieleni jako asystenci do Karola Marcza.

Marczak jest samotnikiem, sam konstruuje swoje koncepcje, wymagając potem konsekwentnej realizacji. Szuka ujęć najefektowniejszych, buduje nowe urządzenia, całą uwagę skupia na właściwym przygotowaniu metody filmowania. Charakter Marcza nie sprzyja tworzeniu się zwanego zespołu twórczego, to on ma w tym zespole zdanie ostateczne. Nie zawsze mogą się z tym pogodzić młodzi absolwenci szkoły, których ambicje sięgają o wiele dalej, niż terminowanie nawet u najlepszych nauczycieli. Narastające niezgodności, ujawniające się w czasie realizacji filmu „Rozwój zarodka ptaka” rozwiązuje dyrekcja tworząc obok Marcza dwa nowe zespoły twórcze. W jednym z nich pracowali Stanisław Kokesz jako reżyser i Bolesław Bączyński jako operator, w drugim Aleksandra Jaskólska z operatorem Józefem Arku-

żąc cykl pięciu filmów przyrodniczych. Wyprawa ta była początkiem nowych zainteresowań Puchalskiego, które będzie kontynuował ponad 20 lat później w czasie wyprawy na Antarktydę.

9.

Marczak prowadzi nowe eksperymenty, przygotowuje w pracowni swych „bohaterów”. Przygotowania do filmu o pajaku trwały dosyć długo. Zgromadzone w filmowej hodowli pajaki miały powoli przyzwyczajać się do światła, nie chciały jednak rozpocząć zakładania sieci. Filmowcy byli zdezorientowani. Dopiero przypadek wyjaśnił powód. Pajaki pod wpływem stale zapalonego światła zgubiły swój normalny rytm biologiczny. Wygaszenie światła, chociażby na godzinę, wywołało normalne reakcje i można było przystąpić do realizacji filmu.

Takie właśnie przygotowania czynili filmowcy przyrodniczy przed każdym niemal filmem. Głównym poligonem doświadczalnym była w WFO Pracownia Techniki Społecznych kierowana przez inż. J. Susłowskiego.

10.

Jaskólska z Arkuszem i Kokesz z Bączyńskim realizują kolejne filmy. Szybko jednak operatorzy uzyskują samodzielność i zarówno Arkusz jak i Bączyński sami firmują swoje dzie-

MACIEJ ŁUKOWSKI

# WEWNĄTRZ PRZYRODY



Foto: Archiwum

dyplom honorowy na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Naukowych w Paryżu. Te pierwsze sukcesy były także pierwszym zaakcentowaniem obecności polskiego filmu przyrodniczego na arenie ogólnoswiatowej. Kolejne wyróżnienia i nagrody potwierdziły wysoki poziom polskich twórców. W rok później na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Londynie bardzo znaczące wyróżnienie otrzymuje Puchalski za „Wyklucie się piskląt”, a Marczak I nagrodę na festiwalu w Bahii za film „Grzyby”.

Na następne nagrody trzeba było czekać kilka lat. Sytuacja w wytwórni, niewysyłanie filmów oświatowych na zagraniczne festiwale były przyczynami tego, iż o filmie przyrodniczym na krótko zapomniano. Na krótko, gdyż w roku 1954 i Puchalski i Marczak kończą po kilkuletniej przerwie nowe filmy.

Puchalski powraca do wytwórni po kilku latach nieobecności, spowodowanej konfliktem z działem programowym. Zarzucono wtedy jego filmom odchodzić od zagadnień społecznych, brak w nich człowieka itp. Do szczególnych należały zarzuty, jakie postawiono Puchalskiemu podczas jednej z kolaudacji. Pytano np. dlaczego bocian w jego filmie buduje sobie gniazdo na dachu chłopca indywidualnego, a nie spółdzielni produkcyjnej? Dlaczego pokazując kwiaty na łańcuch, reżyser nie umieścił tam usmiechniętych przodowników pracy? („Ekran” nr 8 z dnia 19 maja 1957 r.). Tego Puchalski nie był w stanie zmieścić. Powrócił w roku 1953, kiedy — jak sam wspominał — „dzięki dyrektorowi Pastecznikowi zaplanowały teraz w WFO zupełnie inne stosunki”.

8.

Oddzielnym zjawiskiem w historii polskiego filmu przyrodniczego był film „Mioza w bielmie” realizowany przez dra Andrzeja Bajera. Film ten zaczął on wspólnie z Karolem Marcza, ale kiedy obaj nie mogli znaleźć wspólnego poglądu na kształt filmu, dyrekcja WFO powierzyła jego realizację właśnie pracownikowi naukowemu z Krakowa. Film stał się

szem. Kokesz i Bączyński realizują „Mrówcze szlaki” i Zapomnianych sprzymierzeńców”. Jaskólska i Arkusz film „O wodzie, roślinie i sparkach”. „Mrówcze szlaki” uzyskuje dyplom honorowy na kolejnym kongresie AICS w Amsterdamie, a później także na festiwalu w Edynburgu. Pojawili się nowi twórcy filmu przyrodniczego. Później samodzielną pracę rozpocznie Arkusz na jego miejsce wejdzie do zespołu Jaskólskiej operator Andrzej Walter, ale i on wkrótce się usamodzielnia.

7.

Ożywienie twórcze po roku 1956 jest także widoczne w filmie przyrodniczym. Marczak z nowym zapałem kończy swoje wybitne filmy, które po pierwszych sukcesach w końcu lat czterdziestych zdecydowały o jego międzynarodowej sławie. „Rozwój zarodka ptaka”, „Ryby labiryntowe”, a przede wszystkim „Praca serca zarodka troci”, a później „Modliszka” stały się wizytówką polskiego filmu przyrodniczego (biologicznego). Obiegły cały niemal świat, a „Praca serca zarodka troci” stanęła w rzędzie trzech najbardziej utytułowanych filmów Wytwórni Filmów Oświatowych, zdobywając osiem nagród międzynarodowych.

Również Puchalski odnosi międzynarodowe sukcesy, jego „Skrzydłacy rycerze” i „Nietoperze” przywożą nagrody z Wiednia, Edynburga i Lipska. Polski film biologiczny i jego metody poznania głębi zjawisk przyrodniczych stały się sławne na forum międzynarodowym. Marczak stał w rzędzie najwybitniejszych pionierów kina naukowego, w Brukseli wydano jego biografię.

6.

W roku 1957 wyrusza na Spitzbergen wielka wyprawa polarna, w której biorą udział dwa zespoły filmowe Wytwórni Filmów Oświatowych. Wyjechał wtedy Jarosław Brzozowski, który zrealizował tam pełnometrażowy film „W zatoce białych niedźwiedzi” i Włodzimierz Puchalski z operatorem Januszem Czeczem, przywo-

ła. Szczególnie efektownie rozpoczął samodzielną realizację Bolesław Bączyński, który za film „I kurczęta muszą się uczyć” otrzymał I nagrodę na XVI Kongresie AICS w Warszawie.

Józef Arkusz, z którym jako operator pracuje Witold Powada, realizuje film „Rak pustelnik”, rozpoczynając nim stałą współpracę WFO z Morskim Instytutem Rybackim.

Znaczącym filmem w biografii Arkusza jest film „Życie trwa” z roku 1962, wyróżniony na festiwalu w Vicyzy. Potem sukcesy Arkusza pojawiają się szybko: „Piastuga” nagrodzona w Wenecji, „Życie gleby” w Pradze i Brukseli. Nową drogę w jego twórczości wyznacza współpraca z doc. dr Wincentym Weislo z AM w Krakowie i realizacja dwóch wielkich cykli: pierwszego o sercu i krańczeniu krwi i drugiego o przewodzie pokarmowym.

Filmy te stworzyły nową szkołę w filmie biologicznym. W pierwszym cyklu twórcy pokazali jako jedni z pierwszych w Europie, a być może i w świecie, wnętrza pracującego serca: a w drugim widzowie mieli okazję zobaczyć pracujący żołądek, reakcję różnych gruczołów na obecność pokarmu itd.

Filmy te wzbudzają ogromne zainteresowanie zarówno w środowisku filmowym jak i medycznym. W roku 1979 odbył się pokaz kilku ostatnich filmów Arkusza w wypełnionej po brzegi auli wydziału lekarskiego Uniwersytetu w Ołomuńcu w ramach festiwalu Academia Film Olomouc. Przyjmowano je jako sensację.

Powstawanie tych filmów to długie lata prób i poszukiwań. Współpraca Arkusza i Weislo rozpoczęła w roku 1960, zaowocowała do roku 1979 osmioma filmami, z których niemal każdy stał się filmową i medyczną rewelacją.

11.

Film przyrodniczy nie doczekał się w Polsce należnego mu forum konkursowego. Pojawiał się na festiwalach krakowskich, gdzie tylko czasami był w zauważany. Najwyższą z

nagród na tym festiwalu — Srebrnego Lajkonika — zdobył Puchalski za „Puszczę Białowieską”. Nagradzano tu „Niesporczaki” Jaskólskiej, „I kurczęta muszą się uczyć” Bączyńskiego. Potem przez długie lata film przyrodniczy nie był na tym festiwalu kochany. Dopiero na zakończonym niedawno XIX Festiwalu Brązowego Lajkonika przyznano „Dziecku Dziedzi” Mieczysławowi Lewandowskiemu. Jest to pierwszy film przyrodniczy tego reżysera. Brak większego zainteresowania mecenasów sprawiło, że lista twórców filmowych zainteresowanych tym obszarem tematycznym jest niewielka. Zabrakło wielkiego Marcza i wielkiego Puchalskiego, a wśród aktualnych absolwentów szkoły filmowej nie ma zbyt wielu konsekwentnie zainteresowanych filmem przyrodniczym.

Drogę Puchalskiego najlepiej realizuje jego wychowanek, a później jego operator, Janusz Czecz, wraz ze swą żoną Barbarą Bartman-Czecz. To filmowe małżeństwo podpatruje zjawiska przyrody podobnymi metodami, uzyskując unikalne obrazy zachowania się ptaków, macierzystwa, walki o zachowanie gatunku. Samodzielnie realizacje Janusza Czecza, to filmy „W turniach” i „W tatrzańskim parku narodowym”; później tworzył już wspólnie z żoną takie filmy, jak „Opowieść o ptakach i ludziach”, „Paradoks kozioroga”, „Przypatrzmy się focie” czy ostatnie „W stronę ciżmy”, który także uczestniczył w konkursie festiwalu krakowskiego.

Czeczowie tak jak Puchalski, wyjeżdżają na długie tygodnie, aby obserwować przyrodę, mają sojuszników ze świata nauki, którzy w tych poszukiwaniach pomagają. Coraz trudniej przecież odnależć liczne grupy zwierząt, które istniały jeszcze przed dwudziestu laty, a dziś są „ekspozatami” zachowanymi w parkach narodowych i rezerwach.

12.

Mimo wielu trudności, działania Wytwórni Filmów Oświatowych, zmierzające od roku 1975 do zwiększenia liczby filmów przyrodniczych, przyniosły powoli efekty. Powstają nowe filmy będące wynikiem żmudnej pracy reżyserów przyrodniczych; sięgają także do bogatych materiałów archiwalnych. Józef Arkusz realizuje dla TV cykl filmów pod wspólnym tytułem „Z filmoteki Karola Marcza”, będący opowieścią o warsztacie twórczym nieżyjącego już filmowca. Włodzimierz Puchalski rozpoczął przed śmiercią realizację wielkiego serialu będącego wspomnieniami pracy twórczej, zatytułowanego „Przyrodnicze opowieści Włodzimierza Puchalskiego”. Pięć pierwszych odcinków zostało zrealizowanych, ale następne nie mogą już powstać. Powstaje jeszcze jeden, kończący serię, oparty o wspomnienia ludzi, którzy pracowali z Puchalskim.

W połowie maja 1979 roku wrócił z tragicznej dla polskiej kinematografii wyprawy na Antarktydę Ryszard Wyrzykowski, asystent Włodzimierza Puchalskiego, bezpośredni świadek jego nagłej śmierci w czasie krecenia kolejnych zdjęć filmowych. Wyrzykowski kontynuował na Antarktydzie zaczęta przez Puchalskiego prace. Zobaczyć niedługo ostatnie już filmy Włodzimierza Puchalskiego i pierwsze jego ucznia, nowego filmowca-przyrodniczego, Ryszarda Wyrzykowskiego. Przed tym ostatnim jeszcze zupełnie czysta karta, którą ma szansę ciekawie zapisać.

13.

Filmowcy-przyrodniczy to w wielu wypadkach najpierw operatorzy, a potem samodzielni reżyserzy. Doświadczenia operatora w kształtowaniu obrazu przyrody są niezwykle cenne. Tak było z Jerzym Bezkowskim, reprezentantem młodszego pokolenia twórców, który pracuje nad kilkoma przyrodniczymi filmami i pierwszymi ich przystawami do cyklu telewizyjnego „Zielone laboratorium”, poświęconego różnym aspektom życia lasu. Józef Arkusz kontynuuje prace nad cyklem „Życie i odżywianie” i przygotowuje się do cyklu o mózgu. Reżyser Wanda Rolny rozpoczyna zdjęcia do filmu „Nie za wcześnie”, podejmując tematykę z pogranicza medycyny i biologii.

Obok wyspecjalizowanych, znanych twórców-przyrodniczych, tematyka przyrodnicza sporadycznie interesuje się i inni. Mieczysław Vogt zrealizował film o stadzie pawianów w łódzkiej ZOO („Stado”), a Anatol Fiedek, współpracując z ogrodem wrocławskim — „Pierwszy rok życia szympansa”.

14.

Włodzimierz Puchalski pracował nad swoim filmem o lądziach siedem lat. Słepowronów poszukiwał przez lat kilkanaście. Józef Arkusz i Wincenty Weislo pracują nad metodą dotarcia do wnętrza organizmu już prawie dwadzieścia lat. Ze względu na te właśnie skomplikowane i długotrwałe okresy realizacji wielu producentów, nie mogą udźwignąć związanych z tym kosztów, zrezygnowano z dalszych prób. My mamy jeszcze twórców pasjonatów. Ale na ile i — ilu tego samopazarcia starczy?



z pisarzem  
APOLONIUSZEM  
ZAWILSKIM



Tylko arcydzieło mogłoby wypowiedzieć pełną prawdę tamtego czasu...

Czterdziesta rocznica Września aktualizuje na nowo pytanie o psychologiczne przeżycie tamtego czasu. Był pan w roku 1939 żołnierzem, o ile dobrze pamiętam dowódcą baterii 15 pał armii „Pomorze”. Co jest dla pana istotne dziś? Czy traktuje pan temat nazwany skrótem „Wrzesień” jako wyjątkowo dramatyczne, ale dlatego wdzięczne do opracowania tworzywo literackie, czy też jest to dla pana wciąż jeszcze temat przede wszystkim osobisty?

Sprawa nie jest taka prosta, byłem bowiem żołnierzem nie jednej, lecz trzech formacji historycznych. Z bronią w ręku wziąłem udział w epopei wojennej 1939 roku i był to udział dość znaczny, bo w końcu dowodziłem baterią w armii „Pomorze”. Sam fakt uczestnictwa w bitwie nad Bzurą także ma swoją rangę. Zostałem ciężko ranny na przedpolach Warszawy, zrozumiałe więc, że tematyka wrześniowa jest mi ogromnie bliska, bo podłana własną krwią. Ale w czasie okupacji byłem żołnierzem ruchu oporu, a od chwili powstania PKWN byłem żołnierzem odratowanego Wojska Polskiego. Redagowałem bowiem w stopniu majora wojskowy organ historyczny „Bellona”, którego byłem redaktorem naczelnym. Miesięcznik ten 1 stycznia 1945 jeszcze w Lublinie wylegitymował się swoim pierwszym numerem, a w dalszych latach, oprócz pisarzy wojskowych, skupiał wokół siebie wielu naukowców jak prof. Władysław Długosz, prof. Juliusz Villaurne, prof. Bohdan Baranowski. Dzięki temu mój stosunek do spraw obronności kraju, do nowej myśli wojskowej jest otwarty szeroko jak to jest tylko możliwe.

A więc zanim został pan pisarzem, był pan redaktorem?

Zastanawiam się zawsze jak się to stało, że ja, oficer liniowy, zacząłem redagować. A właściwie nie powinno to dziwić. Miałem ciekawą przeszłość jako redaktor, w roku 1929 w łuckim gimnazjum wydawałem przecież pismo szkolne „Zak”. Po raz drugi wystąpiłem jako redaktor w 1936 r. Wtedy wydałem „Zbiór wiadomości podoficera rezerwy” zbierając konспекty wykładów od swoich kolegów oficerów i nadając tym wykładom jednolitą redakcję.

A debiut autorski?

Był to artykuł w „Polsce Zbrojnej” z 1 maja 1935 r. zatytułowany „Sentymen-t jako moment wychowawczy”.

Temat dość zastanawiający jak na oficerów?

Widocznie zdradzałem skłonność literacką już wtedy, choć tak naprawdę, wziąłem do ręki pióro, a ściślej ołówek chemiczny, jeszcze we wrześniu 1939 r. w szpitalu, podczas bezsennej nocy. Tak powstała książka „Bateria została”.

Czym było dla pana wówczas to pisanie? Czy chodziło o prostą rekonstrukcję zdarzeń, aby uchronić je od zapomnienia?

Pisanie „Baterii” było dla mnie nie tylko koniecznością kronikarską, ale również przed szokiem, przed zadawaniem się przeżyciami. Przez wiele miesięcy nie mogłem wydobyć z siebie głosu, a skoro nie mogłem mówić, to nie mogłem się oczyścić z koszmaru — nie mogłem uwolnić od bezsennej nocy. Nie przypuszczałem nawet, że męka stanie się materiałem poznawczym, czyli doświadczeniem.

Ale musiała chyba istnieć jeszcze jakaś racja nadrzędna, silniejsza niż chęć ucieczki przed koszmarem. Był pan przecież żołnierzem armii, która przegrała kampanię. Był pan dowódcą baterii, która uległa rozbiłciu...

To prawda, stosunek społeczeństwa do wojska był oskarżycielski. Nie rozumiano wówczas, że Niemcy posiadali przewagę techniczną nad nami. Pod wpływem pewnie także i niemieckiej propagandy w pierwszych tygodniach klęski uważano,

że to żołnierz źle się bil. Pisząc „Baterię” składałem meldunek z pola walki, tyle że meldunek ten nie był adresowany do moich przełożonych (wszak wódz naczelny przekroczył granicę, co bolalo najbardziej), ale do społeczeństwa. Adresat sprawił, że ten meldunek ma formę opowiadania, czasem nawet gawędy. Chciałem bowiem ten meldunek świadomie odformalizować.

A przecież „Bateria” wydana w 1946 roku była zarazem pierwszą powieścią o Wrześniu. Jak była przyjmowana?

Na pewno towarzyszyło jej zainteresowanie, ale nie zawsze rozumiano moje intencje. W „Baterii” powieściowa jest ledwie kompozycja i ja nie traktowałem jej nigdy jak powieść. Ukazanie się jej w tym czasie miało podwójną wymowę. Była to przede wszystkim pierwsza książkowa relacja o kampanii wrześniowej napisana przez jej uczestnika, co uwiarytelniało zawarte w niej treści. A przecież relacja ta stawała w poprzek głoszonemu tu i ówdzie poglądom o armii, która nie chciała się bić, o zdradzie. Książka zwróciła uwagę, bo przeciwstawiała się krzywdzącemu stereotypowi, który się wtedy utrwał i ciążył nad nami przez cały okres dogmatyzmu. Przeczytałem wtedy zresztą powieść Aleksandra Bekka pt. „Szosa Wołokolamska”, która ukazała się bodaj w 1947 roku i dostrzegłem pewne podobieństwa, co pozwoliło mi bronić się przed zarzutami „uproszczeń” w stosunku do oficjalnej w owym czasie oceny kampanii wrześniowej.

Na czym, pana zdaniem, polegało to podobieństwo?

Szosa Wołokolamska to konkretny trakt na drodze do Moskwy, a zarazem metafora, bowiem od obrony tego traktu zależały losy wojny. Bek opisuje także artylerię. W mojej „Baterii” do miary symbolicznego traktu urasta Polska, która zagroziła faszystowskiemu wstępowi do Europy jako pierwsze z państw. Koszto-

wałem, jak można z najkrwawszych przeżyć wrześniowych zrobić temat literacki tryskający spermą. Ale pisarz ma do tego prawo.

Pomówmy zatem o innych książkach. Jest tego sporo, choć właściwa literatura pamiętnikarska o Wrześniu zaczęła się dopiero po 1956 roku i może dlatego, że tak późno, cechują ją spore skłonności do mitologizacji. Znam ten proces, bo w takich powieściach jak „Grzegorz Mała” czy „Złota szablą”, które powstały w więzieniu, świadomie mitologizowałem nieco czasu mego dzieciństwa czy młodości, była to ucieczka w krainę Arkadii. No, ale ja pisałem utwory par excellence beletrystyczne, a tu chodził przecież o utwory pamiętnikarskie, pełne fantastycznych, a więc po prostu bałamutnych twierdzeń.

Powieści „Grzegorz Mała”, czy „Złota szablą”, choć zostały napisane później niż „Bateria”, mówią o czasach chronologicznie wcześniejszych...

To wynika po prostu z mojej dążności do syntetyzowania. „Bateria” zamysła doświadczenie osobiste, ale jest ledwie otwarciem tematu Września.

Ma pan na myśli książkę „Bitwy polskiego września”? Nie waham się nazwać jej dziełem monumentalnym. Ale jak do niej doszło? Czy znówu zadecydował osobisty stosunek?

Czy to takie ważne? Niech pan nie zapomina, że jako redaktor „Bellony” w trzydziestu dziewięciu grubych zeszytach opublikowałem wiele fragmentarycznych opowiadań naszych działaczy w roku 1939. Niepokoiło mnie, że nikt do tej pory nie podjął się opracowania całości, która rysowała się przede mną, co prawda wtedy jeszcze dość mgliście. Z chwilą gdy znalazłem kompozycję czasowo-przebiegową na zasadzie odwróconego biegu wskazówek zegara czy też cofanego wstecz filmu, wiedziałem, że muszę tę książkę zrobić.

Przecież był pan tylko dowódcą ba-

terii. A taka synteza byłaby bardziej zrozumiała u generała...

Utrafił pan w sedno. Po śmierci wielu piszących generałów zrozumiałem, że to właśnie na mnie spoczywa moralny obowiązek przedstawienia przebiegu kampanii wrześniowej. Wszedłem w kontakt korespondencyjny z wieloma żyjącymi uczestnikami bitew Września poświęcając pięć lat na zbieranie i uzupełnianie materiałów.

Czy chociaż rozumiano pańskie intencje?

Dla ludzi, z którymi korespondowałem, był to nie tylko powrót do raz zamkniętych spraw. Było to wielkie przeżycie osobiste. Dla mnie ta praca stanowiła formę służby społecznej, bo powieść zrobiłbym przecież o wiele szybciej. Prowadziłem nie tylko korespondencje. Grzebałem także w archiwach. Szesć tygodni spędziłem w Instytucie Sikorskiego w Londynie, żeby zebrać materiały.

„Bitwy polskiego września”, choć ma charakter czysto dokumentalny, nie są, na szczęście, tylko protokołem, faluje w nich bowiem podskórne napięcie, które sprawia, że są fascynująca lektura.

Ja wszędzie mówię od siebie, chociaż w trzeciej osobie, a tylko w jednym fragmencie tam gdzie pozwalała na to temperatura opisu, a przede wszystkim fakt mego uczestnictwa w opisywanym zdarzeniu, odzywam się w pierwszej osobie. Jest to tym bardziej usprawiedliwione, że „Bitwy” nie są monografią, a tylko wyborem najważniejszych bitew kampanii wrześniowej.

Czy „Bitwy” wyczerpały pańskie zainteresowanie Wrześniem, czy też myśli pańska wciąż jeszcze krąży wokół tego tematu?

Mam już do niego dzisiaj, po „Bitwach” właściwie, niezbędny dystans. I może dlatego dostrzegam białe plamy. Interesuje mnie więc ocena działania naczelnego wodza z punktu widzenia interesów narodowych. Bo wedle mego skromnego zdania marszałek Rydz-Śmigły, okazał się bardziej liderem swej partii niż przywódcą narodu. To temat wart drążenia.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:  
KONRAD FREJDLICh

# CHCIAŁEM ZŁOŻYĆ MELDUNEK

— No tak, pan był zawodowym oficerem. Znał pan uwo-  
dów i chyba naszą mutar-  
ną sytuację „od paaszewki”. A  
ja zostałem wzięty z cywila.  
Zmouuzowano mnie w Łodzi i  
przyczyniono do Kwatery Głów-  
nej jako łącznika. 28 sierpnia  
przyjaliśmy z kolegami z 1 ba-  
talionu 31 pp do Sieradza i  
zostaliśmy zakwaterowani w  
tutejszym browarze. Wiedzia-  
łem tylko, jaki jest zakres  
moich czynności, ale nie zna-  
łem wteay nikogo, ani dowód-  
cy 10 Kaniowskiej DP, genera-  
ła brygady Franciszka Dądor-  
-Ankowiaka, której dowódca  
Armii „Łódź” powierzył obronę  
odcinka sieradzkiego, ani pplk.  
Wincentego Wnuka, dowódcy  
31 pp, której 11 i 111 batalion  
znajdował się w Sieradzu.

— Ten pułk nosił imię  
Strzelców Kaniowskich. Tak,  
ja znałem swego dowódcę do-  
brze, to był, jak to się mówi,  
równy chłop. Ale mylił pan się  
twierdząc, że my, wojskowi,  
orientowaliśmy się w naszym  
militarnym położeniu. Nie wie-  
dzieliśmy o nim wiele więcej  
od was cywili. To, co się  
wkrótce stało, było również dla  
nas całkowitym zaskoczeniem.  
Przeżyliśmy je może nawet cięż-  
żej od was.

Pamiętam dobrze dzień przed  
wybuchem wojny. Znajdowa-  
łem się wtedy w Smardzewie,  
jakieś 5—6 km od Sieradza, i  
tam odwiedziła mnie żona. By-  
ła bardzo zaniepokojona tym,  
co się wtedy działo. Pocięsza-  
łem ją jak tylko umiałem i  
nad wieczorem odprawiłem do  
domu.

— Ja zaraz po przyjeździe  
wysłałem kartkę połową do żo-  
ny. Zona dostała ją i zachowa-  
ła, znalazłem tę kartkę w po-  
smiertnych papierach żony w  
kilka lat po wojnie. Mam ją  
ze sobą. Poczta połowa 32,  
pluton Kwatery Głównej, po-  
dany adres zwrotny. Ale żo-  
na już nie zdążyła na ten a-  
dres napisać. 31 sierpnia wy-  
ruszyliśmy na Lututów, w stro-  
nę granicy niemieckiej.

— Pan poszedł na Lututów,  
a my skierowaliśmy się między  
Lututowem a Grabowem w o-  
kolice Wielunia. Przebyliśmy  
wtedy razem, choć w różnych u-  
grupowaniach, 40—50 km w  
jednym nocnym marszu. Jak  
wtedy mogliśmy być zdolni do  
walki i powstrzymać pierwsze  
uderzenie Niemców? Do tego  
przeciwnik był zmotywowany,  
a nasze wojsko słabsze liczeb-  
nie, gorzej uzbrojone i piesze.

— Po ciężkich stratach został  
zarządzony odwrót do Sieradza  
i obsadzenie stanowisk nad  
Wartą. W ogólnym chaosie, w  
rozgardiaszu, przy przesuwaniu  
oddziałów raz w tę, a raz w  
tamtą stronę, cały czas pod  
ogniem napierającego nieprzy-  
jaciela, od którego nie mogli-  
śmy się oderwać.

— Wie pan, jadąc teraz tu  
do Sieradza, popatrzyłem na  
most kolejowy na Warcie. Czy

pamięta pan może, kiedy zo-  
stał on wysadzony przez na-  
szych saperów?

— W południe, 4 września.  
Na ten most wjechał wtedy  
nasz pociąg i lokomotywa z  
pierwszym wagonem runęła do  
rzeki. A z wody wystawały da-  
lej przęsta, po których zaczęli  
przechodzić Niemcy.

— Ale bitwa nad Wartą za-  
częła się chyba wcześniej, pa-  
miętam, że było to rano, po  
kolejnym forsownym marszu i  
chyba czwartej nieprzespanej  
nocy.

— Tak jest, rano 4 września.  
Po długotrwałej suszy rzeka  
była bardzo płytka, z jej dna  
wystawały mielizny. Jeszcze o  
świecie żołnierze rozbudowywa-  
li połowe stanowiska obronne i  
usuwali części wałów przeciw-  
powodziowych dla obsadzenia  
broni maszynowej. Było nie-  
wiele zasieków, nie przygoto-  
wano wcześniej przeszkód prze-  
ciwczołgowych. Wchodziliśmy  
na stanowiska, a Niemcy już  
atakowali. Wyznaczone wcze-  
śniej odcinki zostały nawet w  
ostatniej chwili zamienione. Na  
przykład drugi batalion miał  
bronić się na Mnichowie, a  
bronił się tam batalion pierw-  
szy, natomiast drugi został  
skierowany na Suchą i Dzie-  
rzazne. Chodziło o to, żeby jak  
najprędzej zająć obronne sta-  
nowiska, bo w rejonie na pół-  
noc od Sieradza Niemcy utwo-  
rzyli już dwa przyczółki.

Nasz bój trwał dzień i noc,  
gdzieś do godziny siedemnastej  
5 września. Mieliśmy uderzyć  
na Mnichów, który został zaję-  
ty przez nieprzyjaciela, ale  
przyszedł rozkaz, że nasz bata-  
lion ma się wycofać, a będzie  
tylko użyta jedna kompania i  
Bataliony Obrony Narodowej.  
Więc my z powrotem na te  
swoje stanowiska odwodowe.

W nocy zostaliśmy przetrze-  
ni do miejscowości Bełen, gdzie  
bronił się 30 pp Strzelców Ka-  
niowskich z Warszawy. Oni  
stracili tę pozycję, a myśmy  
poszli, żeby przeciwuderzyć i  
odebrać ją.

Przygotowaliśmy natarcie na  
wzgórze Bełen. Wspierało je  
sześć moich karabinów ma-  
szynowych i moździerze. Teren  
był o tyle dogodny, że mogli-  
śmy strzelać nad głowami na-  
szych oddziałów idących do a-  
taku i doprowadziliśmy te  
oddziały aż pod samo wzgórze,  
do dwóch wiatraków. Kiedy  
przyszedł moment szturmu,  
musiałem przerwać ogień. Wie-  
dy otworzyli ogień Niemcy ze  
wzgórza i otrzymali silne  
wsparcie artyleryjskie z nad-  
rzeki, z Chojnego. Położyli na-  
wałę ogniową, ogień zaparowy-  
wał wzgórze, no i nasze na-  
tarcie się zalałamo.

Wycofaliśmy się z dużymi  
stratami na podstawę wyścio-  
wa. Plechota szybko, a my z  
tymi cekaemami, z wózkami,  
ja ze swą taczanką — na kon-  
cu. Znowu pod ogniem nie-  
przyjaciela, a także pod ob-  
strzałem z samolotów. Wtedy  
właśnie padła obrona na War-  
cie, a właściwie nie tyle pa-  
dła, ile dostaliśmy rozkaz o-  
puszczenia stanowisk obron-  
nych na Mnichowie.

— My wycofaliśmy się z Sie-  
radza do folwarku Męcka Wo-  
la, gdzie zostało rozmieszczone  
dowództwo dywizji. I to były  
właśnie moje pierwsze gorzkie  
chwile, kiedy zrozumiałem, że  
armia niemiecka nie jest do  
przelamania, choć broniliśmy  
się bardzo zaciekłe. A poza  
tym my do takiej wojny nie  
byliśmy przygotowani. Nam  
mawiano zawsze: bądź dzielny,  
bądź rycerski, a tu wróg oka-  
zał się bezwzględny i okrutny,  
pałł wszystko po drodze, o-  
strzelwał z powietrza kolumny  
uciekierów, widziałem to na  
własne oczy.

— No właśnie. Siali panikę  
i terror. I kto wytrzymał takie  
uderzenie, to wytrzymał, ale  
wielu się zalałamo. Były  
jednak i inne przypadki, które  
zapamiętałem.

— Po wycofaniu się z Bełenia,  
kiedy koncentrowaliśmy się w  
lesie Męcka Wola, a więc po  
sąsiedztwu z panem, przybiega  
pewien kapral, nazwisko jego  
pamiętam, bo pochodził tu  
gdzieś z rejonu Sieradza, Kło-  
dziński Jan. Liczy tę swoją  
obsługę, sprzęt, i wtedy okazu-  
je się, że ma karabin włafel-  
owy, ale podstawy nie ma,  
taśmowego z podstawy nie ma.  
No to tak: wyznacza żołnierz,  
ty i ty, idziemy. Jeszcze zła-  
pani, rozpaleni z tej walki, i  
chcą iść szukać zuby pod  
niemiecki ogień. Mówię do, nie-  
go: — Nie pójdziesz nigdzie,  
zostaniesz tutaj!

— Ja muszę iść, panie po-  
ruczniku, ja nie mam pod-  
stawy do karabinu. I po  
stru ze Izami w oczach napiera



się, że pójdzie. Dopiero mój kategoriyczny zakaz go powstrzymał.

Albo takie drugie zdarzenie. Ładowaliśmy nasz cekaem na wózek. Któryś tam nie dopełnił swego obowiązku, nie zabezpieczył karabinu. Przy ładowaniu został naciśnięty język spustowy — pach! — padł strzał i jeden z koni został zabity. Niewiele myśląc, obsługa zaprzęgała się sama do wózka i tak do najbliższej wioski, żeby tam poszukać drugiego konia. Pociągaliśmy tę biedkę po wertepach, wzięliśmy konia z rekwizycji, zaprzęgliśmy go i poszedł z nami wojować.

Doziedzł chyba, jeśli dobrze pamiętam, aż za Białobrzegi, w okolicy Radomia. Zajęliśmy tam stanowiska na skraj lasu. Było południe, parno, las sosnowy, a w lesie jakiś zaduch podejrzany, trupia woń. Rozgarniam suche liście, a pod nimi zwłoki naszego żołnierza. I dalej co kawałek też takie nagarnięte listowie.

Znużone wojsko spało, kuchnia połowa przychyla jakąś zupę. Chłopcy, naznoscili suchych galezi, żeby nie trzasnęły i nie dymyły. Nagle słyszę tętent koński. Zwiadowca dopada do lasu i krzyczy: „Panie poruczniku, Niemcy!” Zaraz uderzyli na nas. Wywiązała się strzelanina, jakoś ich odparliśmy, ale znów paru moich chłopców

— Jestem tu z mamą na wsi.

— Co ty tu robisz?

Byliśmy na lotnisku pod Dobroniem, a teraz uciekamy przed Niemcami. Chodź ze mną do mamy.

No i poszliśmy. Mama zaczęła mnie oglądać, bo ktoś jej powiedział, że zostałem ranny. Przekonała się, że jestem cały i zdrowy, ja też ucieszyłem się, że ją widzę, ale co teraz robić? Bo przecież muszę iść dalej. Wziąłem rezerwowego konia, kupiłem wóz od chłopca, dałem matce trochę konserw na drogę — i jedź mama do Warszawy, tam jest rodzina, znajdziesz u niej schronienie.

— Jedź z Bogiem, tylko trzymaj się z daleka od wojska!

Pożegnałem się z nią po synowsku, i, jak się okazało, pożegnałem na zawsze, bo po powrocie nie zastałem już matki przy życiu.

— A ja, proszę pana, w Aleksandrowie uchodzę do jakiegoś domu, bo chciałem się napić wody. Mieszkanie puste, bardzo przyzwoicie urządzone, mahoniowe meble, na ścianie różne plakietki, pośrodku plakietka ze swastyką — mieszkanie volksdeutscha, nie ma co do tego wątpliwości. Szło nasze wojsko, gospodarze gdzieś uciekli. Patrz, na stole leżą piękne skrzypce. Nowutkie skrzypce, lśniaca poltura. Uczyłem się przed wojną grać

dziś ludzi, których więziono w piwnicach, no i zniszczyliśmy 35 samochodów transportowych. Niektóre z nich miały ustawione aparaty na lorchu. Rozbiliśmy o kamienie wiele sprzętu fotograficznego. Było tego tyle, że gdybyśmy dziś mieli ten sprzęt, każdy z nas mógłby sobie otworzyć zakład fotograficzny, i to bardzo dobrze wyposażony.

Ale do Warszawy nie weszliśmy. I dlatego nie chcę nam przyznać prawa do medalu „Za obronę Warszawy”, ponieważ nasz 31 pułk nie brał bezpośredniego udziału w jej obronie. Ale przecież ten Mszczonów to właśnie jest nasz udział w obronie Warszawy. Uderzeniem tym opóźniliśmy o trzy dni natarcie wojsk niemieckich, a szczególnie XVI Korpusu Pancernego na Stolicę. Niemcy musieli wycofać spod Warszawy znaczną część tego Korpusu, całą I Brygadę Pancerną i oddział rozpoznawczy II Brygady, a także dywizję zmotoryzowanej piechoty, która ruszyła za nami. Zrobiliśmy duże zamieszanie na ich tyłach, bo oni sądzili, o czym dowiedziałem się później, że nasze działania pod Mszczonowem odbywa się w powiązaniu z natarciem generała Kutrzeby spod Kutna i Bzury, który

część zostawała — ja zostałem również. Dostaliśmy broń, amunicję, żywność. Stała tam w lasku kuchnia polowa, bodajże z garnizonu łwowskiego. W naszym sąsiedztwie znajdowało się pobojeństwo, leżały trupy naszych żołnierzy i żerowały kruki. Strzelaliśmy do nich, ale były tak zajadłe, że nie odstępowały martwych ciał.

Przedzieliliśmy w tym lasku do rana, a potem pułkownik Gumowski ruszył z nami na Zamość. W Zamościu byli już Niemcy. Uderzył na nich, sam strzelając parabelą do czołgów. Potem z garścią żołnierzy ulokował się w nawie kościoła. Tu dostał się pod ostrą obronę nieprzyjaciela i prawdopodobnie zginął.

— My poszliśmy inną trasą. Skierowaliśmy się na szosę Grójec-Warka, tam dotarliśmy do samego wieczora i lasami poszliśmy na Rycyzwół. Przeprowadziliśmy się, proszę pana, konno przez Radomkę, na ramię we dwóch, ja z por. Janiakiem, dowódcą 7 kompanii w naszym batalionie. I teraz tak: co będzie na tym drugim brzegu, co tam będzie, kto tam będzie? Ale jakoś cicho, nie, drugi brzeg nie był obsadzony przez Niemców. Więc latareczką — cykl! — no i wojsko zaczęło się przeprawiać. Napili najpierw konie, żeby nie zaczęły pić pośrodku rzeki, bo wtedy by ugrzęzły razem z ludźmi i już by się nikt nie wydostał z rzeki.

Przedzieliliśmy tam cały dzień. Zostaliśmy na noc, no i co teraz robić? Poszło rozpoznanie w jedną stronę — Niemcy, w drugą — Niemcy. Przyeszły kobiety wiejskie i mówią: — Panowie, co wy tu robicie, przecież tu Niemcy naokoło...

Nie ma innego wyjścia, tylko przedzierać się komunikacją za Wisłę. Postanowiliśmy więc uderzyć jeszcze za widoku. I to było tak: myśmy uderzyli i Niemcy uderzyli równocześnie. Chcieli jeszcze za dnia z nami skończyć, bał się walki w nocy, bo wiedzieli, że u nas bagnet i granat to najskuteczniejsza broń. No i że jeśli dotrwaliby do nocy, to im się wymknęmy.

Wywiązała się okropna walka. Ja ze swymi chłopcami dośledłem do szosy i byłem już blisko jej drugiego krańca. Za mną biegł Janek Pater, lekarz naszego batalionu. Nagle trafił go pocisk i przeciął mu tchawicę. Krzyknął, zacharzał. Patrz: leży na szosie. Doskończyłem do niego, zaciągnąłem go z powrotem do rowu. Zaczęłem go w tym rowie opatrywać — i wtedy dwóch Niemców podparło mnie bagnietami, z jednej i drugiej strony. Zaraz za pistolet, za granaty, zabrali mi to wszystko. No to już, myślę sobie, dla mnie koniec wojny. Bo póki miałem broń, jeszcze wierzyłem, że może się coś zdarzyć. Ze mogą się odwrócić nasze losy.

— I ja w to wierzyłem, wierzyłem do ostatniej chwili, nawet wbrew logice. I wbrew temu, co nas na każdym kroku spotykało.

Przedostajemy się za Zamość, na wzgórze w kierunku lasu. Oglądamy się, a tuż za sobą mamy niemieckie czołgi. I siekamina, proszę pana. Ja między koniem, a taczanką, uszedłem jakoś z życiem. Nie miałem już ani granatu, ani butelki z benzyną, a Niemcy byli

tak blisko, w zasięgu kilku metrów. Przemknąłem się z paroma kolegami do lasu, a czołgi po tej masakrze pojechały dalej. Widocznie gonili jakieś inne nasze oddziały.

W tym czasie pojawia się Junkers i lecą bardzo nisko nad nami. Zaczęliśmy go ostrzeliwać. Nagle widzimy, że dymy mu się z ogona i siada pod lasem w odległości jakiegos pół kilometra od nas. Chłopaki pędem do niego i wzięli tych Niemców do niewoli. Było ich czterech, cała obsługa samolotu.

Stamtąd doszliśmy do Krasnobrodu nad Wieprzem i w Krasnobrodzie był nasz ostatni front. I wie pan, jaki widok zapamiętałem? Krowy, które weszły do rzeki i w wodzie szukały schronienia. A ja położyłem się na brzegu i piłem łapczywie tę wodę. Bo już tylko pić mi się chciało. Odwykłem od snu, od jedzenia, tu jakiś pomidor, tam jabłko popite kwaśnym mlekiem, jak człowiek to wszystko wytrzymał, co mnie trzymało na nogach przez te wojenne trzy tygodnie — do dziś nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

No więc Niemcy przypuścili w Krasnobrodzie szturm ogniem zaporowym, pocisk za pociskiem, nie można się było nigdzie ruszyć ani nawet głowę wychylać. Tak przez jakieś cztery godziny. Potem nastąpiła cisza, nasi żołnierze zaczęli się zbierać, a dowódca powiedział tak:

Chłopcy, jesteście osaczeni i mamy tylko jedno wyjście: w kierunku na Czerniowce, do Rumunki. Kto chce iść z nami, niech idzie, a kto chce zostać, niech zostaje.

Ja wybrałem wtedy to drugie: mam rodzinę, nie znam jej losów, jeśli już tutaj przegrzamy wojnę, to gdzie ja będę szukał pomocy za granicą. Trudna to była decyzja, a jednak trzeba ją było podjąć.

Było nas siedmiu. Polami, lasami, doszliśmy z powrotem do Kazimierza. Tam w Wiśle zatopiliśmy taczankę, broń, aparaty polowe. Nocowaliśmy u przewoźnika, a rano podziurawionym czołgiem przewoźnik przeprowadził nas przez rzekę. No i dalej w drogę, aż do Przysuchy. Wyszliśmy na szosę — zmęczeni, zaroiści, brudni, w postrzępionych mundurach. A naprzeciw nam jedzie blyszcząca kolumna niemiecka. Paru gładko wygolonych Niemców na motocyklach przystanął i pokrzykują do siebie:

Schau, schau, polnische Soldaten!

Zarechotali gardłowym śmiechem. A myśmy tylko zacisnęli zęby, co mieliśmy robić? Zabrali nas do Opoczna i osadzili w tamtejszym więzieniu. I wie pan, co mnie uratowało? Kontuzja kręgosłupa. Bo w pierwszych dniach wojny, gdzieś za Sieradzem, spadłem z konia, który się spłoszył, i mocno się potłukłem. Przez cały czas coś tam łupało mnie w krzyżu, ale kto by wtedy zwracał na to uwagę. Dopiero niemiecki lekarz zbadał mnie i wydał zaświadczenie, że mogę wracać do domu.

— No a ja, kiedy dostałem się do niewoli, to tak: do Kozienic, a w Kozienicach noc w kościele, pod strażą. Przypomniała mi się opowieść Kmicica, który opisywał urzędujących w kościele Szwedów. Tylko że tu byli nasi żołnierze: rozpalili o-

gnisko na kościelnej posadzce, gotowali sobie jedzenie.

Rano został zorganizowany marsz pieszy z Kozienic do Radomia. Bez wody, bez chleba, bez niczego. Później osadzili nas w Kielcach. W październiku zostaliśmy wywiezieni do Wrocławia, a potem do obozu za Kassel, do Ziegelheidu, pod namioty. Tam spadł już śnieg i pamiętam, że 11 listopada, tę pamiętną rocznicę, obchodziliśmy właśnie w jenieckim obozie. Była to bardzo smutna rocznica.

Z Ziegelheidu wywieźli nas do Weilburga nad Lahnem, w góry Taunus, bardzo ładna okolica, jakies 70 km od granicy francuskiej. To był oboz, zaledwie kilkuset oficerów, więc było jeszcze stosunkowo dobrze. Trzymali nas tam do maja 1940 roku i tam właśnie przeżyliśmy jeszcze ofensywę na Francję. Widzieliśmy te tysiące samochodów pancernych, czołgów, motocykli, całe eskadry samolotów lecące na zachód. Wojna.

Potem nas przewieźli do Gór Harzu, a stamtąd do słynnego Woldenberg, gdzie przebywałem prawie do końca wojny. No a później ten słynny marsz. W styczniu gdy ruszyła ofensywa radziecka, ewakuowano nas w głąb Niemiec, w okolicę Lubeki. Pamiętam, 5 maja stałem z żołnierzem niemieckim na warcie, bo ich kapitan mówił tak:

— Jeden karabin na dwóch, i będzie stał Niemiec, i będzie stał Polak. Jeśli nadejdą Anglicy, to Polak wyjdzie, a jeśli Niemcy, to Niemiec.

Więc stoję z takim wachmanem. Patrzymy: pokazał się mały samochód pancerny, a za nim zaraz czołgi. To były czołgi angielskie. I tak zostaliśmy uwolnieni przez Anglików.

9 maja rano poszliśmy z kolegą na spacer, na wzgórze. Słyszemy, strzela artyleria przeciwlotnicza, nad Lubeką rozrywają się pociski, tylko że jakieś kolorowe: zielone, czerwone, żółte. Huk, strzelanina, nie wiedzieliśmy jeszcze, co to się dzieje. Wreszcie się dowiadujemy: koniec wojny. Niemcy skapitulowali.

\*\*\*

Stoimy ze stryjem na tarasie Ośrodka Sportów Wodnych w Sieradzu. Przed nami widok na Wartę, która płynie tu zakolami, teren jest płaski, za rzeką łąki i pastwiska.

— Widzisz po przeciwnej stronie te drzewa? — mówi do mnie stryj. — Tam właśnie były rozlokowane nasze oddziały, ja też tam byłem w tym miejscu. A tu przez Wartę przedostawali się Niemcy. Myśmy ich ostrzeliwali, trwało to około dwóch — trzech godzin, ale ogień artyleryjski, nekający, zmusił nas wkrótce do tego, że musieliśmy się wycofać.

Kiedy tak patrzę na te okolicę, to wszystko staje mi w oczach jak żywe. Wydaje mi się tylko, że po tamtej stronie rzeki było więcej drzew. Teraz są tu młodsze i rzadsze drzewa, starych drzew nie widzę, wysokie brzozy. Może to brzozy z tamtych czasów, ale to trudno powiedzieć. Od tamtego września minęło przecież czterdzieści lat.

TADEUSZ GICGIER

## WOJENNE DROGI

poległo. Ksiądz-kapelan chodził do konających, potem zbliżał się do mnie i mówi, że prosi mnie ciężko rannego chłopaka, o leży tam pod drzewem. Podbiegłem, biorę jego głowę na swoje kolana, a on spieczonymi wargami: „Pić! Pić!”. Patrzę, ma brzech przestrzelony, dać mu pić, to znaczy przybliżyć jego koniec. Ale to przecież prosba w godzinę śmierci. Więc przechyliam trochę mianierkę, dalem mu mały łyk wody. Ocknął się, zaczął mówić. I wie pan, co powiada do mnie? — Panie poruczniku, kiedy zobaczy pan mego ojca albo matkę, to niech pan im powie, że zostałem ranny w brzuch. Ze szedłem do przodu. Ze nie uciekałem...

No, ale pyta pan, którego szedłem dalej po Mękiej Woli? Mielliśmy przejść przez Szadek i Lutomię, ale przed Szadkiem zostaliśmy ostrzelani, więc nasz batalion już do Szadku nie wszedł. Obeszliśmy cementarz od zachodu i skierowaliśmy się na szosę łódzka, na Kazimierz, ryzykując mocno tym dzielnym marszem. Jednak Niemcy też złazili swoje rany po bitwie nad Wartą, więc sądziliśmy, że nas nie będą prześladować, i tak rzeczywiście było. W Kazimierzu zorganizowaliśmy obronę, ale znów dostaliśmy rozkaz wycofania się na Aleksandrow, a potem na Zgierz. Tak więc do Łodzi nie weszliśmy.

Ze Zgierza rano wyruszyliśmy w kierunku miejscowości Koźle. Otóż gdy dochodziliśmy do Koźla, a nasz batalion maszerował jak zwykle w straży tylnej, ja znów na samym końcu ze swym plutonem taczanek, zmodrowany po całonocnym marszu, podbiega do mnie mój kolega, porucznik Chrzanowski, dowódca kompanii zwiadowców, i mówi:

— Antek, wiesz, kto tu jest? Mama twoja tu jest, i Zena, twoja bratowa.

— Niemożliwe. One mieszkają w Łodzi, co by robiły tu w Koźlu?

— No to idź, w dowództwie pułku czeka na ciebie Zena.

Kazałem jednemu z dowódców plutonu poprowadzić dalej marsz za batalionem, a sam poszedłem do dowódcy pułku. A tam moja bratowa stoi na bosaka. Zobaczyła mnie i w płacz.

na skrzypcach, to było moje drugie zamiatowanie, zresztą o- ba, rysunek i grę na skrzypcach, przejął po mnie syn. I wie pan, absurdalna myśl: wezmę te skrzypce dla syna. Ale się pohamowałem: ładnie bym wyglądał, z karabinem na plecach i ze skrzypcami pod pachą.

Myślę, że tam, w Aleksandrowie, rozeszły się nasze drogi. Bo my poszliśmy przez Stryków w kierunku na Blonie i na Warszawę. W Bloniach mieliśmy nocą potyczkę, a pod Warszawą spotkaliśmy się już z niemieckimi czołgami. To było chyba 8 września.

— My natomiast siedzieliśmy w Koźlu do wieczora. Przyleciały niemieckie samoloty. Zbombardowali wioskę, spalili, ale na szczęście moja matka z bratową były już w drodze. A my dalej na Skierniewice, przez cały czas w styczności z nieprzyjacielem i z dywersantami. Pod Skierniewicami złapaliśmy nawet kilku ubranych po cywilnemu, uzbrojonych dywersantów, którzy do nas strzelali. Oczywiście rozprawiliśmy się z nimi krótko.

I tak dobiegnęliśmy do Puszczy Mariańskiej. Wieczorem otrzymaliśmy rozkaz, żeby w zgrupowaniu generała Thommego uderzyć na Mszczonów. No to dobrze, to szykuje się jakiś zwrot zaczepny. Rozpoczęliśmy ubezpieczony marsz. Nasz batalion miał natrzeć na Mszczonów, drugi zamknąć drogę na Warszawę, a trzeci drogę na Łódź.

Kazałem zdjąć cekaemy z wózków, żeby nie było terkotu, chrzęstu uprzęży, nieśliśmy sprzęt na plecach i tak po cichu doszliśmy do rogatki Mszczonowa. Tam Niemcy otworzyli do nas ogień — i to było hasło do otwarcia przez nas ognia.

Uderzyliśmy na Mszczonów pod osłoną naszej artylerii. Wdarliśmy się do miasta i ustawiliśmy zaraz karabiny maszynowe na wszystkich skrzyżowaniach i wylotach dróg, no a sami rozpoczęliśmy buszowanie po Mszczonowie. Ja ze swymi chłopcami natrafiłem na miejsce kwatery niemieckiej kompanii propagandowej II Brygady Pancerniej, znajdujące się w Domu Ludowym. Wyłapaliśmy Niemców i trochę żeśmy ich wytłukli, wyswobo-

swymi wysuniętymi oddziałami dochodził już do Łodzi. Wycofali część swych wojsk spod Warszawy, żeby zrobić z nami porządek.

Muszę się jednak panu pochwalić, że właśnie za Mszczonów pułk nasz doznał się wysokiego odznaczenia: rozkazem Naczelnego Dowództwa w Londynie otrzymał Krzyż Virtuti Militari.

— No widzi pan, a ja byłem w tym czasie w Warszawie, ale też nie uczestniczyłem bezpośrednio w jej obronie. Nie wiedziałem nawet, że jest tam mój starszy brat, Mieczysław, który wyruszył z Łodzi wraz z innymi cywilami na obronę Stolicy, cudem ocalał z masakry, jaką niemieckie samoloty zgryzowały im pod Brzezinią, i przez cały czas obłączenia przebywał w Warszawie.

Gdy dotarłem z moim oddziałem na Pragę, z okien budynków posypały się strzały. Dywersanci ranili kilku naszych, niektórzy chcieli ich szukać, ale nie było na to czasu. Przedostaliśmy się do Sochaczewa. Potem Garwolin — spalony, spalona szkoła, gdzie umieszczono rannych, wszystko zewglone. Za Garwolinem znów mieliśmy z Niemcami potyczkę. Natarli na nas czołgami, a my nie mieliśmy żadnej osłony artyleryjskiej, więc tylko granaty i butelki z benzyną. Jakoś im się wymknęliśmy i dalej w drogę, w kierunku na Lublin.

I tu mała dygresja. W książce „Armia Łódź”, którą czytałem po wojnie, autor pominął jedną rzecz. Pisz tam mianowicie, że 10 Kaniowska DP i Armia „Łódź” przestała istnieć już przed Warszawą, gdzieś w okolicach Bloni. A tymczasem gen. Dindorf-Ankiewicz otrzymał rozkaz od Naczelnego Wodza, by walkę toczyć dalej i dalej stawiać Niemcom opór. I to jest właśnie ten mało znany nasz odcinek walki, zakończony za Lublinem, między Krasnymstawem a Zamościem. Tam był front, do którego myśmy pospieszali. Miałem nawiazac łączność z pułkownikiem Gumowskim, który zbierał rozbitków z różnych ugrupowań. Mówił tak:

— Chcesz walczyć dalej za ojczyznę, czy chcesz iść do domu?

Część szła do domu, ale



11 dywizjon artylerii konnej w przemarszu przez Bydgoszcz.



# WAKACJE

WACŁAW  
BILIŃSKI

## KONIE

### ODCINEK IV

na. Z Łodzi to wygląda inaczej. Z Warszawy jeszcze pewnie inaczej. A tu, z naszych linii, widać prawie gołym okiem. Niemcy się szykują.

Kossowicz poczuł się powołany do ukrócenia tych panikarskich nastrojów.

— E... to może być tylko taka demonstracja. Bluff. Jak w pokerze.

— Myśli pan porucznik?

— I dość tych gorzkich żalów. Póki pułkownik nie wróci, ja jako starszy rangą...

— To się wie — kiwnął głową Zenek. — Jakież rozkazy?

— Zejdź i zorganizuj coś do żarcia. Umieram z głodu.

— A mnie się jeść nie chce. Suszy, i owszern. Soku by z ogórków — westchnął Zenek. Potrzebny mu widocznie był ktoś wydający rozkazy. Zdobył się nawet na odrobinę entuzjazmu. — Ale po żarcie skoczę. Pierwsze mądre słowo, jakie dziś słyszę. Już się robi.

Zniknął za drzwiami, trzasnął nimi. Obudził Niemca, który usiadł na tapczanie, sięgnął po okulary.

— Zaraz będzie coś do jedzenia — powiedział do niego Adam. — Może jeszcze czegoś panu potrzeba? Jabłko?

— Nie, dziękuję. Chciałbym oczyścić mundur z błota.

Istotnie, pomyślał Adam, przecież on ma cały mundur w zaschniętym błocie. Czy nasi porwali go gdzieś na patrolowej pierwszej linii? Czy sam do nas przyszedł? Przybił się, mówiąc słowami kabaty babci Seweryny.

— Z tym chyba poczekaamy — powiedział, bo coś trzeba było powiedzieć. — Jak wróci mój — zawałał się na moment i dokończył — mój człowiek...

Usiadł na taborecie pod oknem i obserwował. Tamten włożył okulary i od razu twarz zmieniła mu się w pedantyczno-profesorską fizjonomię. Miał wydatny nos, krótko ostrzyżone, gęsto kręcone włosy nad kwadratowym czołem. Należał do ludzi, których wiek trudno odgadnąć. Zgarbiony przyglądał się swoim rękóm. Raz i drugi rzucił przelotne spojrzenie Kossowiczowi. Oczy miał zimne, szare, badawcze. Wreszcie zagadnął:

— Mówi pan dobrze po niemiecku...

Adam poprawił się na taborecie.

— W cywilu uczył tego języka.

Od razu pomyślał: po co ja to mówię? Przecież już zdradziłem, że mam rezerwistę, że mnie powołano. Trzeba uważać na każde słowo!

— Ach tak! — uprzejmie, lecz bez zainteresowania zdziwił się Niemiec. — A jakie języki obce naucza się w waszych gimnazjach? Czyba głównie francuski?

— Ja uczyłem niemieckiego.

— Mówi pan z akcentem wiedeńskim.

Sytuacja zaczynała sprawiać Kossowiczowi szczególną trudność do wytlumaczenia satysfakcję Boże miłosierny, nie będę przecież grał roli strażnika więziennego — pomyślał. Stary powiedział mi, że bym nie rozmawiał o polityce. Zgoda. Niech tak będzie. Ale w ogóle pomówię...

Założył nogę na nogę i tonem kawiarnianej rozmowy wyjaśnił:

— Wychowałem się w Wiedniu. Mogę powiedzieć, że nadal tkwię w kręgu kultury niemieckiej. Nawet piszę coś na ten temat. O naszym najwybitniejszym chyba romantyku.

— O najwybitniejszym romantyku? — westchnął Hochman. — Niemieckim?

— Piszę powieściową monografię o polskim okresie Hoffmanna.

Na twarzy Niemca nie pojawił się nawet cień zainteresowania. Zaskoczyło to Niemca Kossowicza, który uznał za stosowne Jorzucić jeszcze i taki komentarz:

— Uważam, że wpływ warszawskiego okresu na twórczość tego... hm... genialnego pisarza jest absolutnie niedoceniany...

Niemiec kiwnął głową jakby na znak zgody, a potem bąknął.

— Obawiam się, że moja wiedza... — i uśmiechnął się z przymusem.

To już oburzyło Kossowicza.

— Jakże to? Ernest Theodor Amadeus Hoffmann.

— Opowieści Hoffmanna! — przypomniał sobie teraz Niemiec. — Mówił pan o jego war-

szawskim okresie. Co on robił w Warszawie? Nic o tym nie wiem.

— Był pruskim urzędnikiem w różnych polskich miastach. W czasie... w czasie (szukał słów: rozbioru, zaboru, ale uciekł z pamięci, więc użył innego). W czasie okupacji... Właśnie chyba z Warszawy Hoffmann wyniósł romantyczną wizję życia na pograniczu snu. Myślę, że niemal cała jego twórczość, powiedzmy, jej najwartościowsze elementy, wywodzą się z jego polskich doświadczeń.

— Tak pan myśli? — bezbarwnie powiedział Niemiec i nagle się uśmiechnął. — Proszę wybaczyć szczerze. Trochę wydaje mi się to groteskowe. Grozi nam, Niemcom i Polakom, konflikt. To narastało. Przecież musieliście zdawać sobie z tego sprawę od lat. Czy nie tak? A pan, proszę mi wybaczyć, zamiast coś praktycznego...

— Coś praktycznego? Teraz ja pana nie rozumiem — oburzył się Adam. — I gwoli pana wiadomości: polecono mi nie rozmawiać z panem o polityce.

Poczuł, że to jakby próba ucieczki z pola potyczki, czy może nawet bitwy.

— To przecież nie polityka — wzruszył ramionami Niemiec. — Mówimy o sprawach abstrakcyjnych. O literaturze. Powtarzamy truizmy. A ja przez moment nie mogłem zrozumieć, że ludzie gdzieś żyją normalnie. Nie wojną, nie tym zbiorowym szaleństwem... Zresztą może istotnie trudno być rzeczowym w takich czasach. Sam w myślach często nazywam się don-kiszotem.

— Don Kichotem?

— Bo jestem nim w pewnym sensie — powiedział Hochman i zaraz znów dokonał karkołomnego przeskoku myślowego. Adam z trudem za nim nadązał. — Zna pan przypowieść biblijną o aniołach szukających iluś tam sprawiedliwych? Zostawmy w spokoju anioły Otóż widzi pan, ja mam złudzenie... Gdyby ludzie dobrej woli... Może udałoby się jeszcze ocalić ludzkosć?

— Ocalić ludzkosć? Od czego?

— To oczywiście tylko przenośnia... — Niemiec nagle skrzywił się, spojrzął na Kossowicza z powątpiewaniem. — A może, co gorsza, nurzonka.

Po trzeszczących schodach, szurając nogami wchodził na pięterko Zenek. Urwali więc tę nieklejącą się rozmowę.

\*\*\*

Zenek jakiś przyszywał ustawił menażki na stoliku pod oknem.

— Nędzne żarcie. Z kotła. O, raju, co za grajdoł. Żydowska garkuchnia, a nazywa się kasyno oficerskie. Ale się nam trafiło!

Niemiec patrzył na nich, jakby usiłując zrozumieć powód złego humoru Zenka. A on już się opanował.

— Pana porucznika prosi na obiad major. Na dół. Do kancelarii.

I widząc wahanie Kossowicza:

— Ja tego Szwaba przypilnuję. I nakarmię. A major gościnnie. Zaprasza. Pewnie chce porozmawiać.

Kossowicz spoglądał w rozterce na Hochmanna, na menażki ze stępnym, nieapetycznym jadem, na Zenka, po którego minie widać było, że myśli tak jak i Adam: jak tu dowiedzieć się czegoś od majora? I zaraz znalazł wygodne racje: Nie muszę przecież siedzieć kamieniem przy tym Niemcu. Zresztą nie wypadła odma- wiać.

— Dobrze go pilnujcie — powiedział, żeby jakoś zadokumentować, że jest orzeczonym. Co zresztą było oczywistą umownością.

W kancelarii zasłane liliowym obrusem biurko nakryte było na dwie osoby.

— Witam i zapraszam na skromny posiłek — powiedział major i wskazał Adamowi miejsce honorowe. — Wstawajmy wcześniej, to i jemy obiad w południe.

Teraz, gdy mu się Kossowicz z bliska przyjrzał, major Wilczyński wydał się starszy i bardzo zmęczony.

— Żywiłem nadzieję — mówił zakładając serwetę za koltierz — że pan pułkownik zaszczyli. A tu masz ci los! No, zobaczymy, co nam Żydy na obiad przygotowali — i do ordynansa. — Podawajcie!

Najpierw był śledzik pod wódkę, potem rosół. Jak major uznał, zbyt wystygły, wreszcie sztuka

mięsa z chrzanem. A major Wilczyński nieco na siłę prowadził rozmowę towarzyską.

— Zatem, panie poruczniku, pańskie zdrowie! Mój Boże, wam, sztablerom, w tej Łodzi jak w raju. Młodość! Kobiety! I służba ciekawa...

Tu zawieszanie głosu. Moja kolej, pomyślał Kossowicz i powiedział:

— Jestem tylko tłumaczem.

Było mu nijako: diabli wiedzą co sobie o mnie myśli ten stary wiarus — zawstydził się nagle. — Ze zadekowałem się w Dwójce? Dorzucił jeszcze więc i tę informację:

— Powołano mnie, tak to się jeszcze w czerwcu nazywało, na ćwiczenia. Ale nie do pułku, a do Łodzi... Jestem filologiem. Nauczycielem języka niemieckiego.

— Zatem wypijmy za pański rychły awans — powiedział major i twarz mu pokryły liczne drobne przeszezki. Wypił, wstrząsnął się. Powąchał kromkę razowej. Wódka była dobra, ochłodzona. Major popatrzył jakoś dziwnie na Kossowicza i dodał. — Będzie chyba rychło awansowa okazja...

— Z tą sztuką mięsa, to damy sobie jakoś sami radę — powiedział do ordynansa. — Możecie odejść.

Zostali więc sami w zapyłonej, dusznej kancelarii, siedząc naprzeciw siebie przy biurku imitującym stół w smudze światła przefiltrowanego przez brudne firanki. Kossowicz w milczeniu walczył z żylastą sztuką mięsa myślic o tym jak tu czegoś dowiedzieć się od majora o tym Niemcu. Wilczyński musiał coś wiedzieć! Jedno tylko nie wchodziło w rachubę — pytanie wprost. A Wilczyński nalał trzeci kieliszek. Jego opalenizna potemniała, ładnie od niej odcinała się siwizna na skroniach i szpakowaty, krótko strzyżony wąs. Wpatrywał się w Kossowicza.

— Chętnie bym zaprowadził pana, poruczniku, na linię naszych chat nad Prosną. Popatrzylibyśmy stamtąd na Niemiaszków.

— Niestety, nie mogę opuścić...

— Szkoda! — powiedział Wilczyński. Każdy kto by tak jak ja patrzył na tamtą stronę parę razy dziennie...

Umilkł. Kossowicz odłożył widelec.

— Będzie wojna? — spytał Adam i bezwstydnie, nie kryjąc się odstukał w niemolwane drzewo. Wilczyński zauważył to i uśmiechnął się.

— Bardzo to piękny widok, ta wieś za Prosną. Mamy w polu obserwacji dużo chłopskich obejść. Od miesiaca zmieniają one co noc wygląd. Obrastają jakimis szopami, stogami, krzakami nawet. Już nauczyłem się odczytywać te zmiany. Wiem gdzie przybyły punkty ogniowe. Gdzie stoją te ich cholerne czołgi. Nanosimy to wszystko na nasze schematy ogniowe. I czekamy.

Znów za chwilę zapadło milczenie, ciężkie raczej i dokuczliwe. Kossowicz po chwili spojrzał Wilczyńskiemu w oczy.

— Na co?

Major uśmiechnął się.

— Cóż tu mówić, panie poruczniku. Jestem stary żołnierz i wiem co to znaczy przyjąć pierwsze uderzenie takich sił. Oczywiście zrobię co do nas należy. Zresztą nasz żołnierz nigdy chyba nie miał tak wysokiego moralnie. To nie frazes.

Dlatego on mi to wszystko mówi, zdumiał się Kossowicz. Dwójka, oczywiście Dwójka. W innym wypadku nie rozmawiałby takim tonem z jakimś podporucznikiem. Ta myśl nie była przyjemna. Odsunął talerz, raz jeszcze spojrzął w wyblakłe, dobrodusze oczy majora. Czuł jak sztuka mięsa pęcznie mu w gardle. I postawił to chytre pytanie, wskazując palcem w sufit.

— A co pan, panie majorze, myśli o sprawie tego Niemca?

Tamten bezradnie rozłożył ręce.

— Ba! — powiedział. — Tyle z tego rozumiem co i pan.

— Istotnie, łamię sobie głowę... — zaczął Kossowicz i w samą porę wspomniawszy słowa Klona. — Czy można wierzyć w niemiecki idealizm? Czy romantyzm?

— Panie poruczniku? Jakież tam niemiecki idealizm? Jaki romantyzm? Miał pies buty? Niemiec to Soldat. I tyle. — Powiedział Wilczyński. — Pułkownik wchodząc zajął tu do mnie, spytał co pan, majorze, o tym myśli? A ja mu na to: Nigdy nie takiego mi się nie zdarzyło, a już dwadzieścia pięć lat służę. A Niemcom nie wierzę. I wierzyć nie potrafię. Tak powiedziałem.

Major umilkł. Adam nagle poczuł znużenie. A także i niepokój. Powinien być tam, na fałcjacie. Podziękował za obiad, przeprosił, by gospodarz nie miał mu za złe, że się odmeldo-

## TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

### SZOSA

Towarzyszom szpadia z JHP —  
z obozu w rejonie Wiżajni

Budowaliśmy szosę. Spiesznie. W tysiąc szpadli.  
Szpadliści wcale nieźli, na pracę zajadli.  
Szpadle nasze dzwoniły nlekim ptaki dzwońce  
I w zwierciadłach swych pysznie odbijały słońce.  
Księżyc — co miał spłizowy barłóg na kurhanie  
Po zabitym narodzie — śledząc ich błyskanie  
Dziwił się, że miast leżeć pod kopcem namiotów  
Przedrzeźniamy go co noc tysiącem migotów.

Ale major, ples wielki, pomimo to nagli,  
Żeby szybciej migotał tysiąc dźwięcznych szpadli.  
By nie dźwiękiem dzwoniły, lecz podobnie dzwonom  
Ku wzgórz, gdzie słup krakał opętany wroną,  
A cień jego rozpiął jak topór rzeźniczy  
Ziemie, której lud — żywy — wspólną mową krzyczy.  
Wolał major, ples wielki: „Prędeż, do fur, szpadli!  
Bo kiedy fryc hitlerski dobędzie, tfu! szabl,  
Nową szosą wyskoczy nań pięknie konnica,  
Jezus Maria! i weźmie pod kopyta fryca!”  
Węc jeszcze szybciej szpadle nad szrutem migoca,  
Drażniąc słońce i księżyc, co marudził nocą...  
Aż oto, kiedy metry ostatnieśmy kładli  
Szosy twardszej od dzwonu i gładziej od szpadli —  
A konie gwiazdonose i jak potas wrzące  
Rżały na dobrą wróżbę — wyszło z bunkra słońce  
I by przejrzeć się w szosie, ukłękło przy wlaźce...  
Dokładnie się przejrzało w pełznącym żelazie.  
Te słup wał, cień kurcocy, opętany wroną,

By przyłączyć do piekieł ziemię przynięcioną.  
Pełźnie twarde nieludsko, śliskie, nie stępione —  
Po szosie, co nie dźwiękiem oddzwania, lecz dzwonom,  
Po koniach, z których chłopczy — jak nieładnie — spadli,  
Po majorze, co dobył, Jezus Maria! szabl.

## TWARDOWSKI

Rankiem działa odeszły. Cicho były w dali.  
Niebo było bezradne jak strzeleckie rowy.  
Na próżno wyglądano orłów narodowych...  
Ostatni wzblił się w błękit i Wisię zapalił...  
I wtedy go widzieli — natchniony polityk,  
Szatniarz, pewien generał w drodze na Pokucie —  
Jak ze zgrozą w żrenicach wleciał na kogucie  
I saćartym szabliskiem rąbał messerschmity.



wuje tam, na górę. Znow podkusiło, żeby zagrać dwójkarza.

— Wolę naszej ptaszynie przyjrzeć się z bliska, uważnie — powiedział. Chciał nawet mrugnąć znacząco (to już wpływ tych trzech kieliszków), ale się powstrzymał.

— Próbował pan z nim... eee... pokonwersować? — podchwycił jednak ten ton major.

— Nadzwyczaj ciekawy jakiś ptaszek. Długo w tej Braszce siedzę. To szczególny punkt, bo co roku tędy właśnie na saksy za chlebem wali tłumem nasz chłopina i to wiosną, latem, a potem i na kopanie kartofli. A ja gruszek w popiele nie zasypiam i mam oczy otwarte. Słuchać też potrafię. Ilu więc tu nie miałem i takich i siakich, ale podobnej figury jak ta — tu palcem wskazał na sufit — w życiu!

Na facytce wszystko zastępyło w popołudniowym bezruchu. Niemiec spał, Zenek siedział pod oknem zaczytany w starym numerze Tajnego Detektywa. Gdy wszedł Kossowicz cicho otwierając skrzypiące drzwi, plutonowy spojrział na niego sponad płachty tygodnika i nie wstając spytał półgłosem:

— No i co ciekawego?

— Nic — powiedział w zgodzie z prawdą Adam. — A co on?

— Jesć nie chciał. Może go polski gulasz w zęby kłuje? Jabłko nadgrzył i tyle. A major, stary wyga, wie z kim i do kogo. Czuję, że farby nie puści.

Hochman zrzucił buty i bluzy (zawiesił ją na krześle i akurat teraz zakos słońca błysnął na matowosrebrnych naramiennikach). Zdjął i te swoje druczkowe okulary. Z zamkniętymi oczami, które zapadły głęboko w twarz ściemniając od zarostu i zmęczenia, leżał na wznak, nieruchomo i tylko powieki mu drgały.

Adam przyjrzał mu się, potem zrobił do Zenka pytającą minę. Plutonowy odpowiedział wzruszeniem ramion. I westchnął. Co to miało znaczyć, Kossowicz nie zrozumiał.

— Pan teraz tu posiedzi, a ja na jednej nodze... — powiedział Zenek. — Mam tu kogoś znajomego, pociągnę go za język. Dobrze? Wyszedł po cichu.

Coraz bardziej interesowały mnie gazety. Prosiłem o nie Wojtkę, jego ojczym prenumerował „Express”.

Czytałem o różnych ważnych rozmowach dyplomatycznych, oglądałem na zdjęciach panów w cylindrach i bardzo mi to wszystko imponowało. Momentami starałem się wyobrazić, jakby to mój ojciec wyglądał w cylindrze. Chyba jak kominiarz. Bo kominiarze też chodzili w cylindrach. Byli umorusani sadzą, mogli więc przypominać dyplomatów abisyńskich. Ale Abisyńców już nie było na mapie Afryki.

Tam wdarli się Włosi. Kiedy to się wydarzyło, jeszcze nie interesowałem się polityką, ale przecież obijało mi się o uszy to, co starsi mówili.

Teraz nie można było nie interesować się światem. Wystarczyło wyjść na ulicę i słyszeć, jak darli się gazeciarze, młodzi chłopcy:

— Generalny szturm w wojnie nerwów planują Niemcy na najbliższe trzy tygodnie! Już 13 milionów złotych zebrano na Fundusz Obrony Morskiej! Linia Zygryda zwiąże w czasie wojny 30 procent armii niemieckiej. Potęga morską Wielkiej Brytanii w pełnym pogotowiu. Ostatnie wiadomości. Ostatnie wiadomości. Kupujcie, kupujcie!

Muszę przyznać, że wszystko to strasznie mnie pasjonowało, ale szkoda mi było dziesięciu groszy na gazetę. Zresztą wiedziałem, że Wojtek, wprawdzie nieco później i tak mi ją przyniesie.

Z każdym dniem atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Wrócił Karol z obozu harcerskiego nad morzem, opowiadał o tym, jak nienawistnie witali ich pociąg Niemcy w Gdańsku, kiedy przejeżdżali przez to miasto. Buńczuczni hitlerowcy w brunatnych koszulach, z opaskami ze znakiem swastyki na rękę grozili im pięściami i wykrzykiwali „Heil Hitler”.

U nas zaś gazeciarze na ulicach wołali:

— Francja i Anglia w pogotowiu wojennym gotowe do odparcia agresji! 700 tysięcy Francuzów powołano pod broń! Napad niemiecki na stację kolejową pod Katowicami! W Gdańsku gwałty i prowokacje! Bezprawne rewizje i aresztowania Polaków!

— Popatrz! — Wojtek przyniósł ostatni numer „Expressu”. Zdjęcie pokazywało, jak buduje się schrony w Warszawie. Podpis głosił, że w stolicy tysiące ochotników przystąpiło do kopania rowów obronnych. Obok mężczyzn są kobiety i młodzież.

W tym samym numerze znaleźliśmy wiadomość, że Francja powołała pod broń półtora miliona rezerwistów, że flota francuska znajduje się w ostrym pogotowiu w Tulonie.

— Trzeba by i u nas przystąpić do kopania schronów — powiedziałem.

— To nawet będzie fajnie. Ale sami nie damy rady!

Nie musieliśmy. Starsi wzięli się do roboty. Kawalek pola kartoflanego w sąsiedztwie trzeba było zdezastrować. Nie wszystkie kartofle były okazale, ale innej rady nie było. Wieczorem rozpaliliśmy nawet ognisko i zrobiliśmy sobie znakomitą ucztę. Ale popracowaliśmy solidnie. Na rękach porobiły mi się bąble, wcale się nie oszczędzałem. Schron miał być duży, powinno w nim się zmieścić nawet ze dwadzieścia osób.

Kiedy w poniedziałek, 28 sierpnia, zgłosiłem się po obiedzie, by dalej pomagać przy budowie schronu, wszyscy rozprawiali gorąco o podpisanym przed trzema dniami w Londynie sojuszu wojskowym polsko-angielskim.

Ojciec Zuli głośno czytał gazetę: — „W razie gdyby jedna ze stron umawiających się znalazła się w działaniach wojennych z jednym z mocarstw europejskich na skutek agresji tego ostatniego przeciwko tejże stronie umawiającej się, druga strona umawiająca się udzieli bezwzględnie stronie umawiającej się, znajdującej się w działaniach wojennych, wszelkiej pomocy i wsparcia będących w jej mocy...” Słyszycie? Teraz jest już wszystko jasne. Jeśli tylko Niemiec odważy się na nas napaść, natychmiast Anglicy przyjdą nam z pomocą. Natychmiast!

Strasznie zawily był dla mnie ten język dyplomacji, dopiero wtedy zrozumiałem w czym rzecz, kiedy ojciec Zuli wyłożył kawę na ławę. Wszyscy zgromadzili się nad gazetą.

— Ale tu czytacie — zawołał jeden z sąsiadów — „Atak niemieckiego patrolu na polskie terytorium o kilometr od granicy odparty przez patrol polski”. Albo tu: „Niemcy zamykają przejścia graniczne drutem kolczastym. Prowokacje i terror w Gdańsku. Zbrojni SS-mani gdańscy porwali pięć osób z polski”... O, łajdaki, zapłacą nam za to!

Kopalimy zawzięcie. Im dalej w głąb, tym gleba była bardziej wilgotna. Pojawili się piasek.

W śróde przystąpił do wzmacniania schronu palami z drzewa. I naturalnie wszyscy znów z ożywieniem komentowali ostatnie wiadomości. Tym razem wielki tytuł, na całą szerokość „Expressu” krzyczał wprost:

„Szantaż, jakiego nie znają dzieje. Cyniczne kłamstwa niemieckie o rzekomych prześladowaniach Niemców w Polsce mają usprawiedliwić zamach na pokój.”

— Nic nowego — powiedział ojciec Zuli. — To samo mówili Niemcy przed zagarnięciem Sudetów czeskich. A kto rzeczywiście rozrabia? Posłuchajcie, co tu dalej piszą: „Zamach dwóch Niemców na dworzec w Tarnowie. 7 osób zginęło od wybuchu bomby”.

— O, cholera! Czytaj pan, czytaj!

— „W poniedziałek o godzinie 11.45 na dworcu w Tarnowie w hali bagażowej wybuchła bomba zegarowa umieszczona w walizce, oddanej na przechowanie. Jedna trzecia budynku dworcowego uległa uszkodzeniu. Siedem osób poniosło śmierć. W związku z tym zamachem aresztowano dwóch Niemców, w tym jeden obywatel Rzeszy, którzy świeżo przybyli do Tarnowa.”

— Ja słyszałem, że dywersantów ujęto też i w innych miastach — w Poznaniu, w Łodzi, w Nowym Sączu.

— A gdzie ten Nowy Sącz?

— Gdzieś w górach.

— W górach to jest Nowy Targ. Weźcie atlas i poszukajcie. Czy to zresztą ważne, gdzie ich ujęto? Działają i to najgorzej.

— Jak ja bym takiego dywersanta

wistów do służby czynnej. Takie wisiły już przed dwoma dniami, ale potem policja je zdarła. Mobilizacja. Nie znałem tego słowa, które teraz było na ustach wszystkich. W ten sposób poszerzałem swoją edukację.

Wieczorem przyszedł Wojtek i Karol. Usiedliśmy na ławce i wymieniali uwagi na temat tego wszystkiego, o czym każdy z nas styszał oddzielnie.

— Ojczym mówił, że w Katowicach wykryto cztery szpiegowsko-dywersyjne organizacje niemieckie.

— Co to znaczy dywersyjne? — spytałem.

— No nie wiesz? Dywersanci rzucają bomby, podminowują tory kolejowe i w ogóle są straszne dranie.

— Ja słyszałem, że dywersantów ujęto też i w innych miastach — w Poznaniu, w Łodzi, w Nowym Sączu.

— A gdzie ten Nowy Sącz?

— Gdzieś w górach.

— W górach to jest Nowy Targ. Weźcie atlas i poszukajcie. Czy to zresztą ważne, gdzie ich ujęto? Działają i to najgorzej.

— Jak ja bym takiego dywersanta

szedł”, podawano też informacje o bombardowaniu miast polskich.

Nasz schron był już całkiem gotów. Przykryliśmy go deskami, na nie położyliśmy świeżo ułamane gałęzie, do środka wstawiliśmy długą ławę. Na razie mieliśmy bardzo fajną zabawę. Schodziliśmy na dół i wychodziliśmy aż nas wreszcie ojciec Zuli solidnie obtańdował.

— Biegacie tam i z powrotem i tylko schodki się niszczą. Nie wiedzicie, że ziemia się obsypuje? Zamićcie się czym innym.

Ba!

A życie toczyło się prawie normalnie. Podobno policja zamknęła kilku sklepikarzy, którzy nie chcieli brać za towar banknotów, a żądali tylko srebrnych monet. W mieście widziało się wielu żołnierzy i oficerów. Niektórzy z nich prosto z cywila poszli do wojska. Ja już na pierwszy rzut oka mogłem odróżnić oficera zawodowego od oficera, który dopiero przywdział mundur. Ten pierwszy puszył się jak paw, dumnie pierś wypinał, wciągał — jeśli miał zbyt duży — brzuch, a ten drugi paradował tak jak zwykły cywil, czasem i mundur nie był na wszystkie guziki zapięty.

Rozpoczęcie roku szkolnego zostało odłożone na dalszy termin. Niezbyt zmartwiliśmy się tą wiadomością. Ojczyzna miała ważniejsze sprawy na głowie niż nasza gromadka.

W niedzielę nadeszła wiadomość, która zelektryzowała dosłownie wszystkich: Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Skakaliśmy do góry z radości. Nawet „Mucha”, który teraz zaczął codziennie nasz dom odwiedzać, oświadczył:

— Wierzę, teraz już wierzę, że damy Niemcom nauczkę. Już w czasie poprzedniej wojny przekonał się, co znaczy wojować na dwóch frontach!

Nie odchodziliśmy prawie od radia. Spiker mówił o wielkich manifestacjach przed ambasadami Anglii i Francji w Warszawie. Cała Polska radośnie świętowała ten dzień 3 września.

(...) Zjawili się Karol z nowymi wiadomościami. Nasze samoloty zbombardowały Berlin, Polacy wkroczyli do Prus Wschodnich. A Anglie wynaleźli taką cudowną broń, która wykrywa każdy okręt nieprzyjacielski.

Góra więc nasi!

Następnego dnia nadeszły jeszcze bardziej optymistyczne informacje. Oto — jak napisał „Express” — „Linia Zygryda pękła aż w dwunastu miejscach pod gwałtownym naporem armii francuskiej”.

(...) Stałiśmy na chodniku. Obok nas — z północy na południe — przejeżdżały samochody z różnymi znakami rejestracyjnymi. Główna ulica miasta była nadal rozkopana i cały ruch odbywał się właśnie tutaj. W życiu nie widziałem takich luksusowych wozów. Nigdy zresztą specjalnie nie interesowałem się motoryzacją, bo samochód stanowił dla mnie gruszkę na wierzbie.

Jechały całe rodziny, młodzi i starzy, niemowlęta, dzieci... Na dachach piętrzyły się bagaże, poduszki, pierzyny.

Jeden z samochodów zatrzymał się przy nas i siwy pan zapytał, gdzie znajduje się stacja benzynowa. Pokazaliśmy, jak ma jechać, ale nie dawaliśmy mu zbyt wiele nadziei. Słyszeliśmy, jak ktoś wczoraj mówił, że z paliwem są straszliwe kłopoty.

— Dokąd tak wszyscy pędzą? — musiałem zapytać.

— Na południe. Uciekamy przed Niemcami.

— Przecież Anglia i Francja wypowiedziały im wojnę!

Spojrzał na mnie jakimś dziwnym wzrokiem i machnął tylko ręką.

Drukujemy fragmenty powieści dla młodzieży pt. „Drewniane szable”, która w przyszłym roku ukáže się w druku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Akcja powieści toczy się między marcem a październikiem 1939 roku na Lubelszczyźnie. (Red.)

MAREK ADAM JAWORSKI

## WRZEŚNIOWA EDUKACJA

— Ale nie bójcie się! Patrzcie, co piszą w innym miejscu: „Będzie dobrze — mówi cały Paryż w spokoju oczekując wypadków.”

— Pan Józef jest dowcipny — zauważył ojciec Zuli.

— To nie ja, tylko gazeta. Ale słuchajcie dalej: „Kobiety chcą być piękne cokolwiek się zdarzy. Nigdy w Londynie nie było takiego zapotrzebowania na masaż twarzy, wieczne ondulacje i takiego pokupu na kosmetyki...”

Milczałem, coż mogłem dorzucić od siebie? Ale ta bomba na dworcu w Tarnowie zupełnie nie pasowała mi do tego obrazu kobiet angielskich, które teraz nie miały innego pragnienia, jak zrobić masaż twarzy...

A tymczasem oni dalej gadali między sobą:

— Bilon znika z rynku, ale podobno przywieziono okrętem duży transport srebra.

— Po co zbierać srebrne monety? Już lepiej robić zapasy cukru i soli.

— Sucharów przede wszystkim. Pamiętam, jak się przydały podczas wojny.

— Co pan może tam pamiętać. Ile miał pan wtedy lat? Cztery?

— Sześć. Ale pamiętam.

— I masło trzeba magazynować. Stopić, zakorkować i korek zalać parafiną. Wytrzyma trzy lata.

— A mąka w worku z płótna wytrzyma rok.

— Rok tylko? Więcej wytrzyma. Sól może podobno uchwycić się trzy lata.

— Panowie, trzy lata? O czym mówimy? Wojna potrwa najwyżej miesiąc. My tych Niemców wygnaniemy jak wszysy...

— Ja tam się brzydzę gnieść wszysy...

Matka spytała mnie wieczorem: — Masz już podręczniki szkolne?

— Nie wiem, jakie będą obowiązujące. Dopiero jak będą pierwsze lekcje, to się dowiem.

— No, dobrze.

— Mamo, ale czy będę chodził do szkoły, jak wybuchnie wojna?

— Na pewno będziesz chodził. Chyba nauczycieli do wojska nie weźmą. Wy też przecież nie będziecie wojować!

31 sierpnia rozlepięto na ulicach naszego miasta plakaty. Wielki napis głosił: „Gwałt zadawany siłą musi być siłą odparty”. Po prawej stronie portret Rydza Śmigłego, a pod nim takie słowa: „W wypadku wojny każdy mężczyzna bez względu na wiek i każda kobieta będą żołnierzami.” W środku znów: „Swego nie damy. Napastnika zwyciężymy”. Na górze plakatu — samoloty, po lewej stronie — lufy armat, a na dole maszerujący żołnierze.

Gorączkowy nastrój doszedł do zenitu, bowiem ukazały się również obwieszczenia o powołaniu rezer-

ta zapał — powiedział Wojtek — to bym mu chyba leć ukreślił.

— Na pewno. Gołymi rękoma. Taki dywersant — dorzucił Karol — musi mieć broń, chyba ma granaty, czy ja wiem zresztą, co?

— A ja słyszałem, że w Londynie wydano ostatnio półtora miliona masek gazowych. A my nie mamy masek.

— Ale jak dojdzie do czegoś, to chyba nam dadzą. W takiej masce to się jednak ciężko oddycha. Pamiętajcie, jak nam ją demonstrował ten major?

— Tak, i powiedział, że każdy może sobie taką maskę kupić.

— Kupić. Za ile? I skąd wziąć pieniądze?

— Ty, Kazik, sprzedałeś króle to teraz możesz sobie fundnąć maskę na swoją maseczkę. Ale słuchajcie, czy nie możemy pogadać o czym innym?

Wstałem. Teraz dla mnie żaden inny temat nie istniał.

— Cześć, chłopaki — powiedziałem. — Do jutra.

Spałem bardzo niespokojnie. A gdy się obudziłem, nie wiedziałem, że o godzinie 4.45 hitlerowski pancernik Schleswig-Holstein zaczął ostrzeliwać Westerplatte ze wszystkich swych dział. Rozpoczęła się wojna między Polską i Niemcami, wojna, która później miała się przedrzeć w drugą wojnę światową i pochłaniać dziesiątki milionów istnień ludzkich.

O wybuchu wojny dowiedziałem się gdzieś dopiero koło południa. Przybiegli do mnie Wojtek i Karol.

— Wiedziałem, powiedziała mi matka. Miała lzy w oczach. Najbardziej martwiła się teraz o ojca.

Z radością zobaczyłem, jak „Mucha” otwierał furtkę.

— Myśleliście, że zobaczycie mnie w mundurze? Odwalili mnie na komisię. Serce... Myślę, jednak, że jeszcze mogę się przydać.

Powiedział o d w a l i l i. Nigdy nie używał takiego słowa, jeszcze bardziej mi się w tym momencie spodobał.

Karol i Wojtek szurnęli nogami. „Mucha” każdemu z nas podał rękę. Ładnie mi to wyszło.

— A więc wojna... Wojna na śmierć i życie. Boicie się?

— Czego się bać?

— Nie znacie wojny... Ja trochę znam... Mama w domu?

— Tak.

— Zajrzę do niej na chwilę. Chwila przedłużyła się bodaj do godziny.

Kiedy wyszedł, nastawiłem radio. Nadawano jakieś dziwne komunikaty w rodzaju „koma trzy prze-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

## BORUTA

Był Tum w mieście Lanciecia — chciał bies potłue wieże, Lecz próżno przez lat, tysiąc podsadał się grzbiętem I szczał na nie kosmatych wiatrów nietoperze, I z obłoków siarczystych rąbał pistoletem.

Aż przyszedł dziwny człowiek — ustawił moździerz, Puścił na nie tygrysy — i gruchnęły w Lete, Choć bronili ich ostro Kuirzeby żołnierze I dżgał pancierz wroga raz po raz bagnetem.

Gdy pękł bagnet ostatni i cisza zapadła, Niesie wieść, w pogorzeli zobaczono diabla, Ten na ramię zwycięzcy młotą kłatwę wściekłą I beczal, tuląc wieży skorupy w ramionach, Nad ludem, który człowiek tygrysi pokonał — Bo to był tylko diabeł i znał tylko piekło.







Niewiele pamiętam z tamtego września, sprzed czterdziestu lat. Pamiętam tylko skwar i zieloność i sierzpy obrazów, które po latach spróbowałem nieudolnie zapisać w jakimś opowiadaniu. I choć od tego zapisu minęło kilkanaście lat, tylko do niego mogę sięgnąć — bo tylko on wydaje mi się wiarygodny i prawdziwy.

lotniczy marki „Zenit” — splekane szkło, zatarte przez czas i wojnę cyfry. Ten zegarek przesłano do muzeum z dalekiej Kalifornii. Razem z jego właścicielem brał udział w kampanii francuskiej, potem w

sien gazetowe tytuły wołające z pierwszych stron „Berliner Montagspost”, „Lodz genomm. Den Polen bei Warschau der Rueckzug ueber die Weichsel verlegt”. A potem słowa gadzinowej „Gazety Łódzkiej”

# WRZESIEŃ

Dywizjonie 300 bronił angielskiego nieba, aż wiosną 1943 spadł w zimne wody Morza Północnego. W wojennej historii tego małego zegarka jest jakaś teza polskiego losu. Przeniesiony na rękę polskiego żołnierza przez trzy kampanie, przez dwa kontynenty — świadczy dziś w muzealnej gablocie o haracie i uporze w walce.

(cena 10 groszy albo 5 feników) — „Zalamanie się ostatniego oporu. Admiral Urrug w niewoli. W miesiąc po wybuchu wojny nie ma już żołnierza polskiego pod bronią”. Ale mylili się Niemcy, myliła się „Berliner Montagspost” i „Gazeta Łódzka”. Żołnierz polski pozostał „pod bronią” przez całe sześć lat wojny — walczył na Wschodzie i na Zachodzie — walczył w kraju. Upór, hart i bohaterstwo — taka była odpowiedź żołnierska na judaszowskie ulotki zrucane tysiącami na ulice walczącej Warszawy. Ulotki pełne fałszu, kłamstwa i nieudolnej polszczyzny: „Do żołnierzy i ludności Warszawy! Armia Poznańska i Armia Pomorska są zniszczone w krwawej walce nad Bzurą nie macie więc żadnej nadziei na odzyskanie Wszelki rozlew krwi jest bezcelowy. Chcemy zawrzeć z wami pokój. Złóżcie oręż! Po

## PROPOZYCJE

Dość dawno temu tory kolejowe wyznaczały granicę miasta. Wszystko, co było za torem traktowane było jako dalekie przedmieście. Ale dziś sytuacja wygląda inaczej. Olo mamy Teofilów — niemal wielkie miasto — położone za torem kolejowym, łączącym Dworzec Kaliski ze Zgierzem. Olo mamy Dąbrowę — wprawdzie jest to jej część przemysłowa — również położona za torem. Za torami leży Retkinia i Widzew Wschód. A już niedługo więcej dzielnic mieszkalniowych będzie leżało za torami.

cały ruch podmiejski PKP nie zatrzymywały się na Dworcu Fabrycznym, ale mogłyby być rozprawdane dalej, praktycznie aż do Teofilowa. I nie tylko.

na przedłużeniu trasy W-Z, która kończy się na nie dokończony alei Włókniarzy w okolicach Dworca Kaliskiego. Komunikacja z Retkinia obecną trasą pod dwoma wiaduktami przy Dworcu Kaliskim staje się coraz trudniejsza. Na komunikację z Retkinia nakładają się komunikacje z dworcem. Specjaliści obliczyli, że w tym ciasnym miejscu w ciągu godziny przejeżdża obecnie 1600 pojazdów, a w 1985 roku będzie przejeżdżało ich trzy tysiące. I co wtedy?

Jeśli uważnie przyjrzyć się mapie Łodzi — a niedawno Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych wydało „Plan miasta Łodzi” — to można się przekonać, że obwodnica przyjmuje z trzech stron podmiejski ruch kolejowy: z północy od strony Zgierza, Kutna i Łowicza, ze wschodu od strony Koluszek i z zachodu od strony Zduńskiej Woli. Na planie tym widać również, że takie przystanki jak Zabieniec, Łódź Kaliska, Chojny, Widzew, Stoki, Radogoszcz leżą w pobliżu wielkich, nowych osiedli lub — jak w przypadku Radogosza — osiedli mających powstać.

komunikacji miejskiej. Ale dziś wiemy, że budowę metra trzeba odłożyć i znów wraca pomysł z linią obwodową, choć już bez linii średnicowej, łączącej Dworzec Fabryczny z Dworcem Kaliskim. Ale i ten projekt nie będzie szybko realizowany, o ile będzie w ogóle realizowany. Przewiduje się bowiem, że sprawa obwodnicy może być aktualna dopiero po 1985 roku.

Wszystkich nurtuje jedno pytanie: Co to było? Skontaktowałem się z red. Krzysztofem Kijewskim z „Głosu Wybrzeża”, który zajmował się tą sprawą i posiada kompletną informację na temat „obiekty” przelatującego nad Wybrzeżem Gdańskim wczesnym 20 sierpnia 1979 roku. Red. K. Kijewski także próbował zasięgnąć wiadomości u specjalistów na ten temat. Najpierw jednak może kilka wiadomości na temat zjawisk towarzyszących przelotowi owego „obiek-

## SPRAWY DZIWNE I CIEKAWY

Zbliża się koniec sierpnia, dzieci poszły już do szkoły w Sopocie rozpoczęła się kolejna Festiwal Interwizji, wrócił też do blisko czteromiesięcznym rejsie „Dar Pomorza”, ale największe emocje i spore wywołanie wydarzenie, jakie miało miejsce nad brzegami Morza Bałtyckiego w niedzielę, 20 sierpnia 1979 roku. Zresztą wydarzenia to było obserwowane w różnych częściach kraju, jak donosiła o tym prasa Wybrzeża Gdańskiego, a między innymi i w Łodzi. Nie wiem, jakie komentarze wywołało to w Łodzi, w Gdańsku i okolicach stało się tematem dnia. A ponieważ tu właśnie byłem i sam to oglądałem, opiszę, co widziałem i słyszałem.

I tak się właśnie zaczęło. Dyskusja nad tym, co to było, trwa dalej. Łowicy obok nas ryby Borkusław Piłowski z Pabianiec był przekonany, że widział błoniacę samolotu.

Wszystkich nurtuje jedno pytanie: Co to było? Skontaktowałem się z red. Krzysztofem Kijewskim z „Głosu Wybrzeża”, który zajmował się tą sprawą i posiada kompletną informację na temat „obiekty” przelatującego nad Wybrzeżem Gdańskim wczesnym 20 sierpnia 1979 roku. Red. K. Kijewski także próbował zasięgnąć wiadomości u specjalistów na ten temat. Najpierw jednak może kilka wiadomości na temat zjawisk towarzyszących przelotowi owego „obiek-

Interesują mnie od dawna różne zjawiska, które nie zawsze znajdują naukowe wytłumaczenie albo wyjaśnienia których przez naukę nie daje pełnego wytłumaczenia i pozostawia sporo miejsca na snuć fantastycznych, acz nie pozbawionych logiki hipotez. Dotyczy to również UFO — czyli niezidentyfikowanych obiektów latających. Do tej pory nie miałem szczęścia być świadkiem czegoś takiego, jak przelot UFO, aż właśnie w niedzielę, 20 sierpnia 1979 roku stało się. Jechaliśmy drogą Kościelczyna — Kartuzy — Gdańsk i zatrzymaliśmy się nad jezioro Małe Brodno w rejonie Rebozowa. Wieczór był pogodny, słońce już zaszło.

dać było błękitny kadłub, jak się wyłaniał z dymu. „Obiekt” ten widziała też Jadwiga Środka z Łodzi która szła z 6-letnim Sławkiem po mleko. — Dla mnie — powiedziała później — był to samolot, który się zapalił, ale Sławek powiedział, że to UFO.

tu”. Radar nie zanotował. Obsługa portu lotniczego w Gdańsku poinformowała autorytatywnie że o tej porze w korystarzu powietrznym, jak prowadził nad Wybrzeżem, nie było żadnego samolotu. W Radio-Gdynia i w Radio-Szczecin zanikły wszelkie połączenia na falach ultrakrótkich. Obserwowano silne świecenie się linii elektrycznych. Jolanta Lewandowska z Uniwersytetu Gdańskiego, dokonująca pomiarów wody w rejonie Helu widziała w nocy z 21 na 22 sierpnia 1979 roku na północnej stronie nieba 4 silnie świecące punkty, powoli zmieniające położenie i konfigurację. Te świecące punkty były podobne do tych, jakie widziano dnia poprzedniego.

— Co to było? — padło pytanie.

— Sześć Obserwatorium Geofizyczne PAN w Gdańsku uważa, że było to zjawisko wywołane burzą magnetyczną.

— Sześć Obserwatorium Geofizyczne PAN w Gdańsku uważa, że było to zjawisko wywołane burzą magnetyczną.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skróć. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1951. A-2.

# SEWERYN BUTRYM



Niesie o nim ta legenda żywa, Gdy lud „chleba!” wołał, on „pieczywa!”

## LEWYM OKIEM SCHODZIMY DO LĄDOWANIA PO RAZ DRUGI

Napisałem tydzień temu, że operowanie wytartymi pojęciami i posługiwanie się do znudzenia wciąż tymi samymi zwrotami, kieszlenie wciąż tych samych obrazów — to w literaturze i w dziennikarstwie objaw niechęci do większego wysiłku myślowego. Zdanie to podtrzymuję, ale oto po dłuższym namyśle dochodzę do wniosku, że to nie tylko lenistwo, nie tylko... Myślę teraz mianowicie, że istnieje bardzo poważna przyczyna, dla której niektóre zwroty idą szybko w zapomnienie, a inne stają się ulubioną zagrywką autorów. Weźmy jeszcze raz owo nieszczęsne „schodzimy do lądowania”.

Od razu w pierwszych słowach takiego reportażu z podróży autor daje do zrozumienia, że jest oblatanym światowcem, dla którego podróż samolotem jest całkowitą, ledwie wariacją zmianliwej oczywistością. Ze jest wyższy ponad staroświeckie, prowincjonalne tłoczenie się w brudnych pociągach i objanie sobie boków w autobusach. Ze komu jak komu, ale Jemu przysługuje wygoda i nowoczesność, przywykł do niej, otrząsł się z terminami takimi jak „kolowanie”, „pas startowy” i „stewardesa”. Jednym słowem — czytelnik powinien domyślić się, „kto ja jestem”.

Celowi temu służą także dalsze, niewinne na pozór zabiegi. „Już widać białe dachy Pernambuco” — od razu wiemy, że autor na pierwszy rzut oka poznaje każde miasto, górę, jezioro, rzekę. Na całym świecie jest u siebie, zna to wszystko jak własną Piórkowską, nie go już nie zaskoczy. „Za chwilę powita nas” — o, to jest bywalec; wszędzie go ktoś wita. Jest osobistością znaną na całym świecie, ma przyjaciół w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej, aż gdzieś wraca niekiedy do kraju i nudzi się tu między nami, nie latającymi po antypodach. Powita go oczywiście jakiś „Staszek” albo „Wojtek” — i już wemy, że nasz podróżnik jest na ty ze wszystkimi prominentami globu, klepie po ramionach ministrów i idoli wszelkiej maści, choć z nimi do knajpek na Montmartrze i do lokalików na Reeperbahn.

Co to było? Skontaktowałem się z red. Krzysztofem Kijewskim z „Głosu Wybrzeża”, który zajmował się tą sprawą i posiada kompletną informację na temat „obiekty” przelatującego nad Wybrzeżem Gdańskim wczesnym 20 sierpnia 1979 roku. Red. K. Kijewski także próbował zasięgnąć wiadomości u specjalistów na ten temat. Najpierw jednak może kilka wiadomości na temat zjawisk towarzyszących przelotowi owego „obiek-



# Załącznik nr. 40(-)79

**HASŁO NUMERU: Nie dopuszczaj do zwiększania się ilości krwi w alkoholobiegu**

Zapukał do moich drzwi późnym wieczorem. Zły jak diabeł zwiłkiem się z tapczanu. Już od progu wydał mi się znajomy.  
— Dobry wieczór, Święty Mikołaj — przedstawił się.  
— Patrzylem na niego ze zdumieniem. Czulem jak opuszcza mnie senność.  
— Przemasz, nie rozumiem — powiedziałem słabym głosem.  
— A co tu jest do rozumienia? — burknął — Święty Mikołaj jestem. Dawnie! Dziadek Mroź, Kaniewu?

Rzeczywiście, to był Święty Mikołaj. Z broda, czerwonym kapturem, wielką łaską i ciekim wotrem, który z niejakim trudem opuścił na podłogę.  
— Proszę pana — zacząłem, ale przerwał mi gniewnym okrzykiem.  
— Należy się do mnie zwracać: Święty Mikołaju!  
— Święty Mikołaju, jak może Święty Mikołaj być Świętym Mikołajem, skoro teraz mamy brodek lata, he? —  
— Spojrzył na mnie spod krzaczkach brwi:  
— Co to za lato? Lele, zimno, brr — otrząsał się z niesmakiem.  
— Prawda, święta prawda — potwierdziłem skwapliwie. — Ale mimo wszystko, jakby na to nie spojrzeć, mamy lato, a nie zime.  
— No to co? W lecie już się nie

wierzy w Świętego Mikołaja? Co? —  
— Wierzy, oczywiście, że wierzy — zapewniłem skwapliwie — a jednak...  
— Co za jednak? Wierzy czy nie wierzy?! — huknął.  
— Wierzy.  
— No, właśnie! — powiedział z nagłym znudzeniem. — Dzieci są? — rozetrzył się po moim kawalerskim mieszkanku.

**MIROSLAW KUŹNIAK**

**ŚWIĘTY MIKOŁAJ**

— Dzięki Bogu jeszcze nie ma. Pokiwał głową.  
— Nie szkodzi, beda. Ojca, matki słucha? —  
— No, wie pan, to już są moje prywatne sprawy.  
— Słucha, czy nie? —  
— Słucha — odparłem z zakłopotaniem.  
— To dobrze. A rano i wieczorem... tego... odmawia — zakaszał się niespodziewanie.  
— Powinno zdecydować się na sprzeciw.  
— Nie, Nie odmawia.  
— Niedobrze — pokręcił głową.  
— Trzeba odmawiać. Zwiastuje potrzebującym. Natomiast dającym nie radziłbym.  
— Ciekawa filozofia — powiedziałem ładowicie. — Zwiastuje u Świętego Mikołaja.  
— No to co, że Święty Mikołaj! — zaperzył się nagle. — Święty Mikołaj też człowiek!  
— A ja myślałem...  
— Myśleć nie potrzebuje. Tylko wierzyć. Rozumie?!  
— Bez słowa pokiwalem głową. Rozpoznałem się nasgle.  
— Zyczenia jakieś są? —  
— No, kilka miałbym — powiedziałem niepewnie.  
— Wystarczy ledno.  
— Tylko jedno? — zamyśliłem się. — Bo ja wiem...? Może wczas w Bułgarii, albo...  
— Wystarczy! — przerwał mi w pół słowa. — Zadowolone. Stanowczym ruchem wyciągnął rękę. — Zaliczka!!!  
— Zapłaciłem. Nawet niedrogo. Dwie stowy. Kiedy wyszedł, z mieszanymi uczuciami potoczyłem się na tapczanie. No bo w końcu był to Święty Mikołaj czy nie?! A jeśli tak, to kiedy mam zacząć się pakować?

## NIE SAMYM ZARZĄDZENIEM

W Zielonej Górze — jak donosi „Życie Gospodarcze” — postanowiono, że „lody można sprzedawać tylko w kulkach 40-gramowych, wolno także handlować wielokrotnością tej racji: 80 gramów, 120 g, 160 g itd.” Jest to piękne zarządzenie. Ale...

Tak się jakoś dziwnie złożyło, wbrew intencjom przepisodawcy, że krajowe i zagraniczne lodyki do odmierzania lodów mają wszystkie po... 100 gramów.

„Życie Gospodarcze” przewiduje, że sprzedaż lodów w Zielonej Górze zaniknie. Nie jest to wykluczone, ale sprawa ma głębsze znaczenie. Obserwujemy w naszym życiu bardzo kwitnącą tendencję do zatławiania wszystkich spraw zarządzeniami i przepisami.

Wszystko zostaje ujęte w regulaminy. Ze regulaminy, przepisy i zarządzenia nie biorą pod uwagę realiów życia tym gorzej dla życia. I nie ma na to rady. Twórczość biurowa kwitnie u nas nadzwyczajnie. I co dziwne, na publikację tego typu utworów nigdy nie brakuje papieru. Niestety!

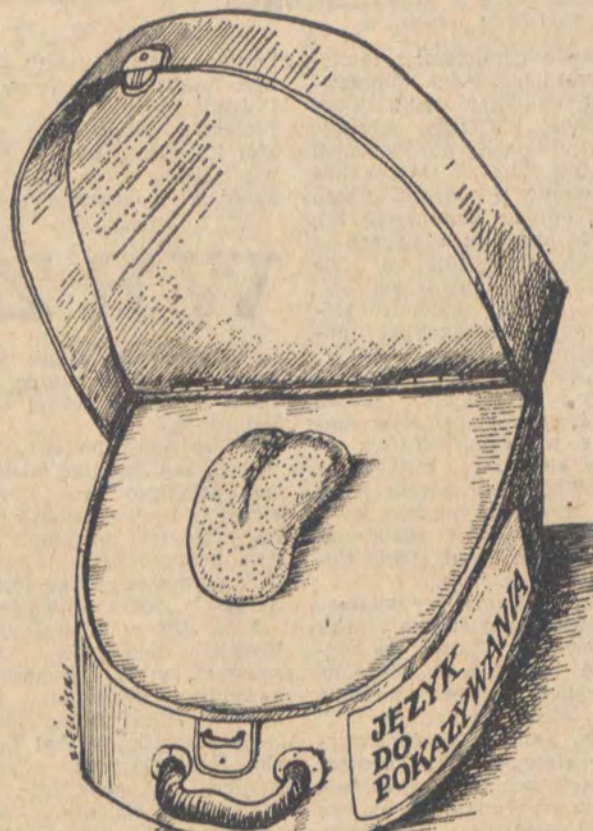
ZYG. ZYG.

W związku z emisją odcinka „Zeznania” (w którym, jak pamiętamy, a jeśli nie, to przypomnijmy — Kojak ścigał zabójcę nieuczciwych pracowników handlu, oszukańczych mechaników samochodowych itp.), w pewnych kołach wytworzyła się atmosfera paniki.

Dowodem tego jest fala listów od skruszonych malwersantów, łapowni-

## SZTUKA I ŻYCIE

ków, spekulantów, jaka zalała całą prasę, m. in. „Załącznik”.  
„Nigdy już nie będę sprzedawał akumulatorów do małego Fiata po 3000 zł. Od tej pory cena nominalna jest dla mnie święta” — obiecuje pracownik PP. „Polmozyt” (nazwisko i adres do wiadomości redakcji).  
„Chciałabym przeprosić wszystkich Klientów, którym odmówiłem sprzeda-



Rys. Jan Zieliński

## ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI NIE MÓW KRÓLOWI

Andersen z bajką o dwóch krawcach spędził mi sen niewinny z powiek...  
Dziś wiem, że życie bajki sprawdza i nim się wstecz obejrzy człowiek, podejdzie taka cię szanienka, by ciagnać potem się zdradziecko...  
Ujrzałem wreszcie, duże dziecko jak kiedyś siedział król. Na stronie. Inżynier władzy swej nie dziurzył, lecz smętnym wzrokiem toczył w koło...  
Więc zawolałem wtedy pierwszą, że król jest nagi i ma gola!  
Czasami taki okrzyk zrówna króla z poddanym, lecz niekiedy z powodu królewskiego głowna przyczyna trosk i wielkiej biedy. Niechaj przestroga i odskocznią będzie tu moral z mojej szkoły...  
Choć gołym okiem to widoczne, nie mów królowi, że jest goły!

W związku z emisją odcinka „Zeznania” (w którym, jak pamiętamy, a jeśli nie, to przypomnijmy — Kojak ścigał zabójcę nieuczciwych pracowników handlu, oszukańczych mechaników samochodowych itp.), w pewnych kołach wytworzyła się atmosfera paniki.

Dowodem tego jest fala listów od skruszonych malwersantów, łapowni-

„Daleko od szosy”, które także odbyły nieczym nie uszadnione leżakowanie w Składnicy Księgarskiej. Pech wyraźnie przesładuje Wydawnictwo Łódzkie, które opublikowało powieść Andrzeja Makowieckiego „Kwadranś śpiącej królewny”. Od momentu opuszczenia przez powieść drukarni minęły trzy miesiące (z okładem), a tymczasem książka Makowieckiego była dostępna tylko w tzw. księgarni transytowej i w zasadzie do tej pory nie znalazła się w szerokiej sprzedaży. Czyżby znowu zawinił tytuł, który sprawił, że kwadranś zamienił się w kwartał. Czas już najwyższy obudzić pracowników Składnicy Księgarskiej z głębokiego letargu, bo gotowi nam niedługo zapasć w sen słomowy.

K. F.

## FELIKS RAJCZAK

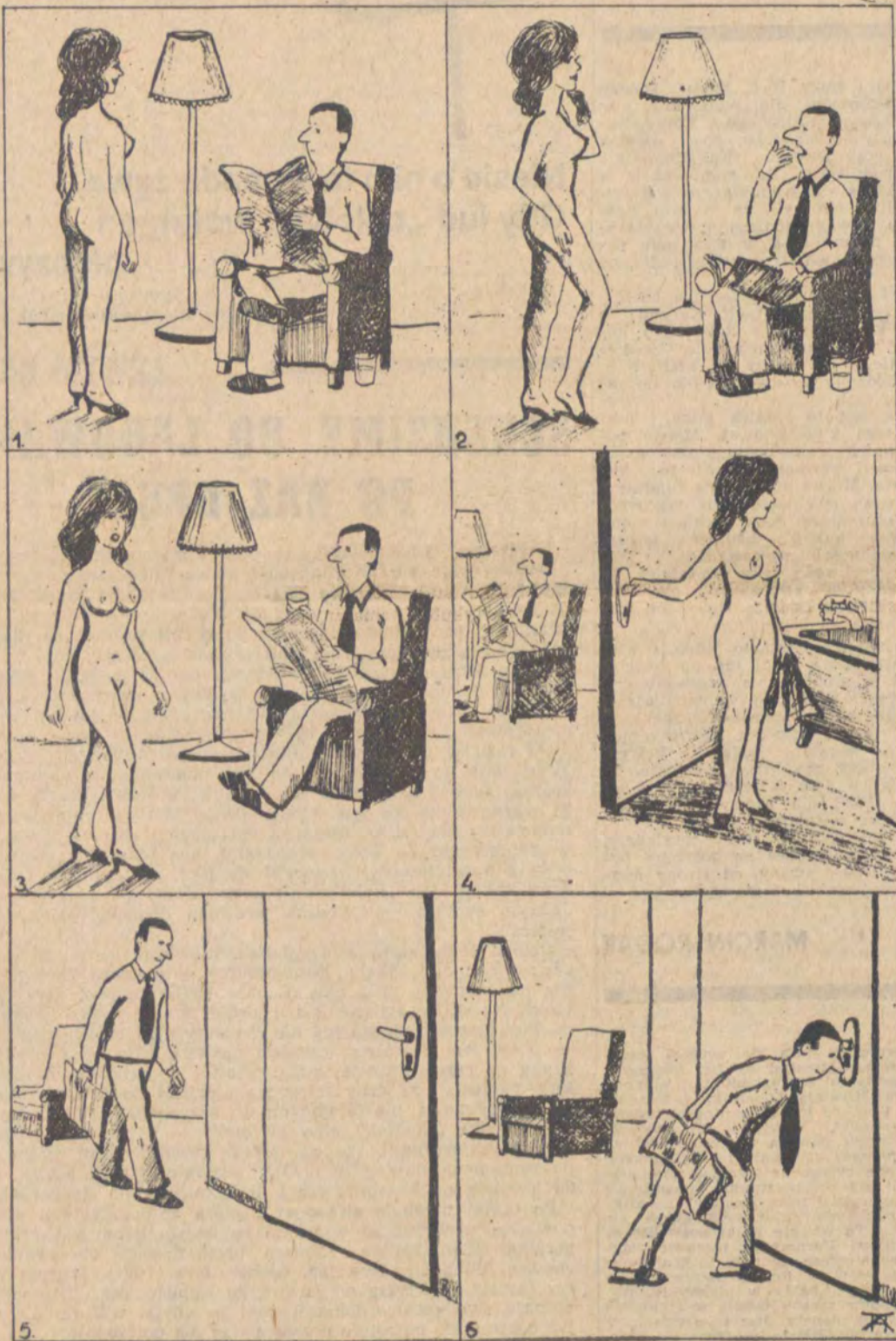
### FRASZKI

O jednym z województwa

Niby jest nowy,  
Lecz powiatowy

W idealnej rzeczywistości

O idealna elita  
Dba, by reszta była syta.



Rys. Andrzej Adamowicz

## WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ODCINEK 18

Wszedł do budki telefonicznej i podniósł słuchawkę, leżącą na ziemi. — Co za wandalizm! — pomyślał, ale odzyskał humor kiedy z trzępniętego pleścia aparatu wypadły dwie złotówki i guzik. Z połączenia musiał zrezygnować.

W drugiej budce brakowało tarczy z numerami, w trzeciej nie było nic, czwarta stała do góry nogami. Próbował z poczty: na pięciu aparatach wisiały tabliczki z estetycznym, zaprojektowanym przez plastyka napisem „Niezyczne”, ktoś tu jednak dbał o klienta. Kolejka przed szóstym wiedziała już, że na panienkę w peruce czeka

Zocha, że Maciś ma nikomu nie otwierać dopóki mama nie przyjdzie i że niemożliwe, żeby kogoś tam gdzieś tam nie było. Potem aparat się zbuntował i łączył z kim chciał, albo młodzi i psuł ludziom nerwy.  
— Ma pan sąsiad zaparkł? — zapukał późnym wieczorem Torpeda, po czym ciszej: — Spi? —  
— Pucik wciągnął go do przedpokoju. — Brak kontaktu. Musimy poczekać...  
— A kto zapłacił za maseczkę? —  
— Ona powiedziała tej babce, że ci panowie, znaczny się my. Potrójna z poziomkami. Pan wiesz — poziomki o tej porze? —  
— Tsss... A milicja? —  
— Tsss! Jeszcze nic. Ale jutro niedziela i Łach wyjeżdża w

plener. Jak pęń złapiesz kontakt? —  
— Czekamy. Z literatury przedmiotu wynika, że czym dłużej tym drożej, byłoby obsława nie skruszała. Oho, budzi się...  
— No to dziękuję za zapaleczki. Dobranoc.  
W poniedziałek pani Celina poszła na mleczne pierogi z kapuszą, telefon działał sprawnie, ale adresata nie było. We wtorek w pierogowych godzinach leżała, a o innej porze nie było skąd zadzwonić. Torpeda pułkał wieczorami i denerwował się, mógł obudzić żonę i zdekonspirować Wielką Pchłę.  
— To już piąta maseczka! — referował — musimy, bo przychodzi klientki i Łach mogłby pos-

nać; pod gipsiem, śmietana i klejem stolarskim wszystkie babki jednakowe, nie? Jeszcze im włosy nakryć dzwonem, dekollet fartuchem i nie z człowieka nie zostaje.  
— A poza tym co? — pytał zaciękany inspektor. (bądź co bądź robił się pionierską, eksperymentalną robotę i każda obserwacja ma znaczenie dla przyszłości).  
— Poza tym to Ramolka chodzi do kina z Gzymsem i przynoszą cukierki małemu.  
— Lubią dzieciaka?  
— W cukierkach jest relanium. Dzieciak zasypia, a Gzymś i dziewczyna nie. Ale jak długo to można wytrzymać? Kontaktuj pan, niech będzie za pół seny...

— Zadowolimy korespondencyjne. Oczywiście — człowiek zanieś, pan widział, co się dzieje na poczcie?  
Kolejka z przekazami awizowanymi zakreca trzy razy dookoła palmy tenisa. Kałamarz — wrzuszający relikwiarz przed rewołucji naukowo-technicznej — pełen jak zwykle źle wypełnionych blankietów. Poza tym dwa urlopy macierzyńskie, trzy chorobowe i cztery wakaty. Po jesiennej sesji poprawkowej zajma je na krótko magistrówny polonistki i psychologii, wtedy o tworzą się okienka, ale będzie już po sezonie. Wielka Pchła nie może czekać, aż — —  
dalszy ciąg nastąpi.



# WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ 012